

# CHURCHILL MÓWI

## MÓWCY SIĘ RODZA

Wielka jest różnica między wymową polityczną Anglików, a wymową narodów Europy.

Sluchając Niemców odnosi się wrażenie, że wydają rozkazy wojskowe. Wygłaszają słowa ostro, szczerkliwie, jedne od drugich odcięte — w mowach ich brzmi komenda.

Kiedy Francuz mówi, to już sam jego język porywa słuchacza. Język Francuzów z jego giętkością, brzmieniem, regularnością tonu i składni, jasnością myśli i lekkością frazesu już stanowi piękna wymowę. Dzięki temu właściwie każdy Francuz jest mówcą.

Inaczej Włosi. Kiedy z pałacu Chigi padnie na tłum słowo "rivolutione" to mimo grozy treści, brzmi ono jak pieśń. A pieśń wywołuje potrzebę gestów i już jest — opera. Mówca staje się śpiewakiem z "opera comica" czy "opera buffo".

Polakowi znowu trzeba przemówić do serca. Wieki cierpienia wysubtelniły nasze uczucia, uczyniły nas skłonny do wzruszeń. To też mówca, który potrafi zagrać na tych strunach polskich dusz — może liczyć w Polsce na powodzenie.

Kiedy zaś przekroczyliśmy Kanał, co jak się niestety dość późno okazało, nie stanowi dla Polaków zbyt wielkiej przeszkody, słyszymy rodzaj wymowy zupełnie inny. Żadnych gestów, żadnej teatralności, żadnych wzruszeń. Nie pomoże ani krzyk, ani lezka w głosie — przede wszystkim trzeba spokoju. Anglik musi mieć ten spokój, aby najpierw zrozumiał o co chodzi, następnie czas, aby się nad tym zastanowił, po czym wraca do swego pierwotnego poglądu.

Dla nas ludzi kontynentalnych słuchać przemówień angielskich jest prawdziwą przyjemnością. Jest odpoczynkiem po frazeologii, krzyku i sentymentalizmie mówców kontynentu.

Ten rodzaj wymowy angielskiej ma jeszcze tę wielką zaletę, że z równą przyjemnością można słuchać mów Anglików, jak je czytała. A nawet jeśli chodzi o Churchilla lepiej je czytać. Jest nieraz czas pomysłować nad tym, co w przemówieniu może ująć uwagi. A myśli takie u Churchilla są w każdej mowie bogato rozsiane.

Mimo odmiennosci w wymowie różnych narodów, jest jednak coś wszystkim mówcom wspólnego, co pozwala im wywierać wpływ na słuchaczy. Wychodzi to z jakiejś stacji nadawczej — z duszy mówcy i idzie prosto do dusz słuchaczy. Kto tę falę odnalazł — ten jest mówcą.

Dlatego nie przekonywuje mnie przykład Demostenesa, który wyrabiał sobie wymowę kładąc kamień do ust. Jeśli już kamień ma poprawić wymowę, to lepiej, aby niejednemu mówcy przywiązano kamień do szyi i... Nie sądzę, że oratores fiunt — oni, jak i poeci, nascuntur. Rodzą się.

Churchill urodził się mówcą.

## PRZEMÓWIENIA DO GŁUCHYCH

Najlepszy jednak mówca nie zyska żadnego uznania u głuchych i to tak samo fizycznie głuchych, jak i głuchych na wszystko, co mówca powie. Jeśli misjonarz zamiast swą mową nawrócić ludożerców będzie przez nich schrupany, nie znaczy, że zjedli złego mówcę. Kiedy inny mówca nie potrafi przekonać swych przeciwników politycznych nie zawsze jest to jego

wina, lecz częściej zatkanych uszu słuchaczy.

Lata całe mówił Churchill do głuchych. Nie chciano słuchać Kassandry, przewidywał bowiem zbyt dużo złego, nie dawał spać Brytonom i niepokoił. A Mac Donald, Baldwin i Chamberlain i Anglia chcieli pokoju. A jak oni chcieli, to przeciwieństwo i pokój powinien mieć. Tymczasem Churchill wiedział, że oprócz Brytów są na świecie inni, co pokoju nie chcą i są na tyle silni, żeby go zburzyć.

Z wiekowych doświadczeń swych przodków, z własnego bogatego doświadczenia, z głębokiej kultury i wiedzy wydobywał takie przepowiednie przyszłości, że graniczyły z prorocstwami, tak były odległe od chwili, w których je wygłaszał.

Jeszcze na rok przed wojną mówił, że "niebezpieczeństwo dla pokoju nie będzie usunięte, dopóki nie rozproszy się wielkich armii niemieckich," a w chwili wysłania posła Runcimana do Czechosłowacji przewidywał atak na Czechosłowację i co więcej przewidywał to pytanie, które różne kraje zadawały sobie po Monachium: "Czyja kolej teraz?"

Nie jest to łatwo przebić się przez gęstwą jednolitej opinii publicznej z przeciwnym jej zdaniem. W Anglii może nawet trudniej. Opinia publiczna jest zaporą do samodzielności — a jeśli się opiera na "wishful thinking" jest zaporą nie do przebycia. "Die Macht des Bestehenden" w Anglii działa silniej niż gdzie indziej.

gotowe są dać jej spokój i pokój. A wtedy Churchill, premier, mówi do narodu angielskiego, mówi jak wódz do wojska:

"Choć wiele obszarów Europy i wiele starych i sławnych państw padło lub paść może w łapy Gestapo i cały ten ohydny aparat rządów Nazi — nie poddamy się ani nie upadniemy. Pójdziemy do końca, będziemy bić się we Francji, będziemy bić się na morzach i oceanach, z rosnącą ufnością i siłą będziemy się bić w powietrzu, bronąc b. dzimy naszej wyspy za każdą cenę, będziemy bić w zatokach, portach, na polach i ulicach, na wzgórzach, nie poddamy się nigdy i nawet gdyby na chwilę — w co nie wierzę — ta wyspa lub jej większa część była ujarzmiona i u- mierzająca z głodu, wtedy nasze Imperium za morzami, zbrojne i strzeżone przez Brytyjską Flotę będzie prowadziło walkę dalej, aż przy pomocy Boskiej nowy świat z całą jego potęgą i siłą odbuduje i uwolni świat stary."

Są mowy polityczne, które wywołują wielkie wrażenie, ale po ich wygłoszeniu nie pozostaje nic. Dzieje się to wtedy, kiedy mowa jest celem sama w sobie. W ustach aktora słowo jest celem, z chwilą wygłoszenia tego słowa jego rola się kończy. Tak samo jak u aktorów, którzy chcą być politykami. Jeśli mają tylko słowa, schodzą ze sceny po wyczerpaniu repertuaru, jak zeszedł rosyjski polityczny aktor Kiereński.

U Churchilla słowo jest środkiem do celu. Bo Churchill jest wodzem, a mowa mu jest dana jak broń, do walki i zwycięstwa. Władza tą bronią znakomicie.

będą nigdy wspomniane. To jest wojna nieznanego żołnierza i niech wszyscy zdobędą się n wysiłek nie upadając na duchu w pełnieniu obowiązku, aż to ponure przekleństwo, jakim jest Hitler zostanie zmiecione z naszych czasów."

A nad wszystkim góruje wola walki aż do zwycięstwa. Każda jego mowa kończy się akordem "Victory."

## WALKA Z HISTORIA

Trudno się wszystkiego nauczyć od Anglików. Ich szkoła życia przechodzi bezpieczniej, niż nasza. 150 lat niewoli i niewola obecna nauczyły nas szukać ciągle jej powodów. Nauczylśmy się patrzeć w przeszłość, szukamy tam powodów naszych klęsk, szukamy i po- ciechy. Ciężar przeszłości leży na naszych dniach dzisiejszych, te- raźniejszość woła ciągle: za co, dlaczego?

To poszukiwanie w popiołach przeszłości zabiera nam czas na- leżny myślowo o przyszłości. Mało zajmujemy się tym co trzeba zro- bić, natomiast prowadzimy ciągłą walkę z historią. Niejeden, który doskonale wie, co inni zrobili złe- go, nie umiałby zdania skłecić, aby powiedzieć co ma być zrobione. Bo przeszłość odczytała nie trudno. znamy jej skutki — cierpienie. Ale dla przyszłości pracować to już rzecz trudniejsza, trzeba umieć i trzeba chcieć.

Szczytem polityki usypiania by- ło Monachium. To też Churchill był jego największym wrogiem. Jednym z autorów Monachium był

narodu wie, że z człowiekiem nie kończy się jego dzieło złe czy dobre. Hold dla zmarłego nie jest holdem dla jego zasad. Dlatego Churchill mówi dalej:

"Oddając hold pełen czci i szacun- ku wybitnemu mężowi nikt nie jest obowiązany zmieniać poglądów, któ- re sobie wytworzył, albo wypowiedział, co do wypadków, jakie się sta- ły częścią historii."

Jednakże wobec śmierci nasu- wają się myśli jeszcze dalsze — myśli o odpowiedzialności za własne czyny. i Churchill filozof przypomina, aby przy bramie cmentarnej każdy poddał ocenie swoje własne postępowanie i po- glądy.

"Nie jest bowiem dane ludzkim istotom — na szczęście dla nich, gdyż inaczej życie byłoby nieznośne — przewidzieć lub przeprowadzić zbyt dokładnie lub przeprowadzić zbyt dokładnie zmienny bieg wypadków. W jednej fazie ludzie zdają się mieć słuszność, w drugiej nie. A znów kilka lat później, gdy się wydłuży perspektywa czasu, wszystko układa się inaczej. Powstaje nowa proporcja, inna skala wartości."

Tak Churchill pożałował przeciwnika.

O Chamberlainie nie było potem mowy. Ani o jego polityce, ani o jego błędach. Nie było czasu. Bo Churchilla czekała droga dalsza w przyszłość. Nie miał czasu wal- czyć z historią. Musiał walczyć o przyszłość.

## PIĘKNO FORMY

Churchilla język ma być wyjąt- kowo piękny. Cudzoziemcom, któ- rzy uczą się angielskiego dopiero od końca 1940 r. trudno o tym są- wydawać. Ale każdy odczuwa, że wrażenie jego mów nie mogłoby być tak wielkie bez siły i piękna jego słowa. Można natomiast zro- zumieć bogactwo form jego stylu, jego dowcip, sarkazm, to znowu ton walki, albo wysoki ton biblij- ny, lub nutę poezji w jakimś wier- szu zamkniętą.

Wie zawsze jak do kogo mówić. Kiedy mówi do Polaków — to pod- kreśla, że cierpią bez przerwy i bez wytchnienia.

"Cały tydzień plutony egzekucyj- ne Hitlera i jego bandy są czynne w wielu krajach." Ale kiedy każdy kraj figuruje na liście egzekucyjnej jeden dzień w tygodniu "to Polacy są na tej liście zawsze, każdego dnia."

Inaczej znowu mówi do Amery- kanów. Mowę wygłoszoną dnia 26 grudnia 1941 r. w Waszyngtonie do Senatu i Izby Reprezentantów zaczął w sposób, który z miejsca ujął musiał Amerykanów. Wspom- niał w pięknych słowach o swojej matce Amerykance, po czym mó- wił:

"Nie mogę się powstrzymać od u- wagi, że gdyby mój ojciec był Ame- rycaninem, a matka Brytyjką, za- miast jak było na odwrót, również mógłbym być tutaj na własną rękę. W tym wypadku nie dzisiaj słyszeli- byście mój głos po raz pierwszy. I nie trzeba by mi było żadnego zaprosze- nia, a gdyby było, mało jest prawdo- podobne, aby to zaproszenie było jedynym słowem."

Jest w tym ustępie tyle humoru ile i zagrania na dumie Ameryka- nów. Bo mogą być z czego dumni. Takiego Churchilla warto mieć choćby tylko w polowie.

Całość mów Churchilla jest szczególnie dla nas nauką języka i nauką wymowy politycznej.

Czytać jego mowy jest dla nas może lepiej, niż ich słuchać. Za bo- gata jest ich treść, aby ją można objąć i pojąć przy jednorazowym ich wystąpieniu.

Trzeba się z nich uczyć. A moż- na się nauczyć wiele.

STANISŁAW SZURLEJ

## Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Tym więcej podziwiać trzeba odwagę cywilną Churchilla, który w sprawie Monachium potrafił przeciwstawić się zwartej opinii angielskiej. Z Monachium przyle- cił Chamberlain i uszczęśliwio- nym tłumom, sam uszczęśliwiony, pokazał papier mówiący, że na nim jest jego nazwisko i Hitlera i po- kój, a w Izbie Gmin powtórzył sło- wa o honorowym pokoju. Wtedy Churchill wygłosił ponurą przepo- wiedź: "Państwo czechosło- wackie nie utrzyma już w przy- szłości swojej niepodległości. Ujrzenie może po latach, ale może tylko po miesiącach, że Czechosło- wacja będzie pochłonięta przez re- żim nazistów." I ujrzelśmy nie po latach — po miesiącach.

Długo Churchill mówił do głu- chych. Ale rzeczywistość zaczęła wołać. Coś się z życzeniami zaczę- ło nie zgadzać. Przepowiednie Churchilla zaczęły się sprawdzać z przeraźliwą dokładnością. I An- glicy zaczęli wyjmować watę z uszu. Aż wreszcie powiedziano mu: Rządź nami.

W dniu 19 maja 1940 r. w Izbie Gmin zabrał głos Prime Minister Winston Churchill.

## WÓDZ

Mianowanie Churchilla Pre- mierem odbywa się wśród huku bomb spadających na Rotterdam, grzmotu armat bijących w armię belgijską. Królowa Holandii chro- ni się do Anglii, król Belgów pod- daje się, następuje tragedia i chwala Dunkierki. Dla Francji dzień po dniu la guerre — przesta- je być dróble. Jest za to przeraźli- wie i niespodzianie tragiczna. Anglia zostaje sama. Niemcy

Przed wszystkim zabezpiecza się przed niespodziankami przyszłości.

"Nie obiecuję wam nie jak tylko krew, pot i ty."

Otworzył sobie konto kredytowe u słuchaczy. Każde niepowodze- nie, każda chwilowa klęska pójdzie na ten rachunek. Nikt mu nie mo- że zarzucić wprowadzenia w błąd. I to mu daje możliwość mówienia prawdy. Bo każda prawda, nawet najgorsza zmieści się na tym kon- cie.

Ale to jest tylko asekuracja. Nie korzysta z niej zbyt, rozumie, że nawet takie konto można wy- czerpać, jeśli się nim zbyt szafu- je. Dlatego, gdy mówi o klę- skach, o stratach — to kończy zawsze akordem wiary. Bo nie obiecuje tylko łez, krwi i potu, obiecuje przede wszystkim zwycię- stwo. Nie obiecuje go jednak, jak wiecowy agitator, jako powszech- nej szczęśliwości spadłej z nieba. Wola, by je zdobyć.

Następnie zbiera siły. "Musimy być zjednoczeni, musimy być nieustraszeni, musimy być nie- złomni. Wszystkie nasze właściwo- ści i czyny muszą paść się i płońć wśród ponurego mroku Europy, aż staną się prawdziwą latarnią jej wy- bawienia."

Nie zapomina ten mądry psy- cholog, że wojnę prowadzi cały naród, więc mobilizuje cały naród, wszystkich wzywa do walki i ca- łemu narodowi przypisuje zasługę walk, bo

"ta wojna nie jest wojną wódzów czy książąt, ani dynastii, czy narodow- ych ambicji — to jest wojna naro- dów i idei /causes/. Wiele jest nie tylko na tej wyspie, ale w każdym kraju, którzy będą pełnić wiernie służbę w tej wojnie, lecz imiona ich nie będą nigdy znane, czyni ich nie

Chamberlain. Zwalczał więc Chur- chill jego i jego politykę, ale jak? Po Monachium Churchill mówił w Izbie Gmin:

"Jeśli nie zaczęłam dzisiaj — mówił Churchill 5.X.38 r. — od zwykłych i ciągle powtarzających się słów uznania dla Premiera za jego pokie- rowanie kryzysem /monachijskim/, nie dzieje się to napewno przez brak osobistego szacunku. Mielśmy wiele lat prawdziwie miłe stosunki i ja z własnego doświadczenia dobrze rozumiałem, ile trudu i wysiłku wy- magają podobne sytuacje, lecz nie- wątpliwie lepiej powiedziałem wyraz- nie, co myślimy o sprawach publicz- nych, gdyż nie czas teraz na starania o polityczną popularność."

Więc najpierw piękny ukłon w stronę przeciwnika, a potem de- likatne pchnięcie szpada.

"Wszystko, co "my right honour- able friend the Prime Minister" zdo- łał uzyskać swoim niezmiernym tru- dem i wszystkimi naszymi wysiłkami i mobilizacją w kraju, całą udręką i wyczerpaniem przez jakie przecho- dziliśmy tutaj, wszystko co zdołał uzyskać dla Czechosłowacji było to, że niemiecki dyktator zamiast por- wać wiktuały ze stotu, zadowolił się e podawaniem mu ich danie po danii."

Ale zaraz po tym idzie zdanie pochlebne.

"Nikt nie był bardziej zdecydowa- nym i bezkompromisowym bojowni- kiem o pokój, niż Premier. Wie o tym każdy. Nigdy nie było takiej determinacji wyteżonej, nieustraszo- nej, aby utrzymać i zapewnić pokój."

A kiedy Chamberlain umarł — z jego śmiercią walka była skoń- czona.

"Namiętne i gorzkie spory, które w ostatnich czasach toczyły się wokół jego osoby śc. chęły na wiado- mość o jego chorobie, a na wiado- mość o jego śmierci zamilkły."

Ale w zdaniu następnym wódz

## POSTĘPY W TUNISIE

W Tunisie sprawy ruszyły na dobre. Zastój został przerwany, linia Mareth złamana doskonałym manewrem Montgomery'ego, wojska amerykańskie przeszły do akcji i oto zamykamy się w przededniu ostatniej fazy.

Pasmo zajmowane przez Rommla nie jest zbyt obszerne. Może się on na nim bronić wcale długo, albowiem zarówno Bizerta, jak Tunis są uciążliwie ufortyfikowane. Przedpola tych dwu fortec zostały odpowiednio umocnione. Pomimo to Rommel nie może już zbyt długo przetrwać przed jego brzością. Likwidacja jego potraw może być w ciągu tygodnia, może nawet i miesiąc, ale już dzisiaj musi on myśleć o ewakuacji.

Sycyllia jest oczywiście punktem, do którego może się ewakuować. Możliwość ewakuacji jego istniejąca. Jakkolwiek flota brytyjska czuwa po obu stronach cieśniny sycylijskiej, jednakże sojusznicy mają poważne siły powietrzne, to jednak przedostanie się konwojów czy transportów przezuczonych wcale prymitywnymi sposobami /łodzie oraz barki/ nie tylko nie jest wykluczone, ale wcale możliwe.

Flota włoska musi oczywiście wyjść z ukrycia. Zakończył się jej okres "szanowania się." Nie wiemy, czy stanie na jej ciele dowódca włoski czy mianowany dowódca niemiecki, ale wydaje się, że będzie ona musiała wejść do walki. Na Morzu Śródziemnym robi się ciasno.

Okazało się, że wojska amerykańskie po otrzymaniu pierwszego chrztu bojowego i po pierwszych niepowodzeniach, są dzisiaj wcale dobrą armią i że najlepszym przeszkoleniem jest akcja. Wojsko, które nie wchodzi do walki nie może być dobrą armią. Armia ośma dowiodła, że długi trening wzmagając doskonałość armii. Przedtem oglądaliśmy podobne zjawisko w armii niemieckiej.

Obecnie jednak w miarę tego jak w armii niemieckiej coraz bardziej przeradzają się starsze, wytrawne siły, kiedy coraz więcej jest niedoświadczonych żołnierzy — w armiach sojuszników oglądamy zjawisko akurat odwrotne: na miejsce "zielonego," niedoświadczanego żołnierza zjawia się i rośnie na siłach armia wytrawna w boju, umiająca sobie dać radę we wszelkich warunkach.

## WŁOCHY W PRZEDNIU INWAZJI?

General Giraud skierował do Włochów ostrzeżenie przez radio. Zapowiedział straszliwe bombardowanie kraju. Wezwał do buntu przeciwko régime'owi.

Rada gabinetowa włoska obradować będzie w tych dniach. Zapadną na tej radzie decyzje w sprawie użycia floty włoskiej oraz w sprawie na-

czelnego dowództwa na całym południu Europy. Dowództwo to oczywiście przypadnie Niemcovi.

Zarządzenia wydane przez władze włoskie, jak m.in. stan wyjątkowy w prowincjach południowych, dowodzą, iż Włochy liczą się poważnie z inwazją. Obawiają się również sabotażu. Te wszystkie lęki nakazują Włochom — a raczej władzom — odpowiednie przygotowanie. Jak jednak opanować olbrzymi brzeg, na który można uderzyć w tyłu punktach?

Nie ma dwóch zdań, że Włosi są głęboko przybiti wypadkami. Doniesienia jakie nadchodzą do Szwajcarii powiada, że naród włoski jest na skraj rozpacz. Kościoły są przepalone, i ten wzrost religijności jest wynikiem stanu niepewności i zawieszenia. Objawy niezadowolenia z rządu rosną, ale jakież formy mogą one przyjąć na zewnątrz?

Możliwość buntu ludności cywilnej w świecie dzisiejszym są bardzo słabe. Dlatego dopóki armia włoska nie

wyłamie się i nie weźmie spraw w swoje ręce — nie widać szans otwartego buntu. Z drugiej jednak strony, wzmocnienie się sabotażu, niezadowolonia, strajków i t.d., przyczyni się do tego, że wojsko — zarówno niemieckie jak włoskie — zmuszone będzie do takiego czuwania nad obywatelami, że nadmiar sił zbrojnych obróczy na pilnowanie kraju.

W tym stanie rzeczy inwazja Włoch jest możliwością z dużymi szansami powodzenia. Nie znaczy to oczywiście, ażeby inwazja poszła akurat w tym kierunku.

## BAŁKANY W OCZEKIWANIU

O kierunku uderzenia na południe Europy zdecyduje bardzo wiele czynników. Mówi się dzisiaj o ataku w stronę Jugosławii czy Grecji. Nie wiemy zatem, jak się zarysuje plan sojuszniczy. Bułgaria żywi coraz więcej obaw. Mobilizuje się ona dzisiaj i nie ma już bodaj innego wyboru, jak w razie ataku sojuszniczego wesprzeć czynnie — Niemców.

Armia bułgarska nie była dotychczas użyta na froncie wschodnim, albowiem dla dowództwa niemieckiego istniała zawsze groźba otwarcia flanki bałkańskiej. Teraz dopiero rozumiemy, dlaczego armia bułgarska nie była w boju.

Oczywiście, dola Bułgarii w razie rozpoczęcia się akcji na Bałkanach nie będzie zbyt dobra. Raz jeszcze polityka wladców wpłatała ten pracujący kraj w sieć, z których nie widać wyjścia.

Na Bałkanach mamy dzisiaj do czynienia ze stanem pewnego popłochu. Widać to w Rumunii, widać na Węgrzech. Podobne nastroje panują na Słowaczyźnie. To wszystko sprzyja oczywiście podminowaniu tego "frontu jedności," który Niemcy stworzyli terrorem i naciskiem.

## NA FRONCIE WSCHODNIM

Na froncie rosyjskim trwają zapasy, które nie przynoszą żadnych nadmiernie efektownych posunięć. Nie należy bodaj oczekiwać ich jesz-

cze przez czas jakiś. Obie strony robią wrażenie, że są zmęczone. Podjęcie wielkiej ofensywy przez jedną czy drugą stronę wydaje się na razie raczej wątpliwe.

A jednak armia niemiecka zapewne przejdzie do jakiegoś natarcia, jakkolwiek przez czas jakiś zdawało się, że w lecie ograniczy się do niewielkich tylko działań, któreby miały na celu przede wszystkim zapobieżenie koncentracji sił wroga. Niektóre komentarze niemieckie nadawane przez radio sugerowały, że jednak wojska niemieckie nie będą zapuszczali się dalej w ziemie sowieckie i że raczej wybiorą działania obronne.

Dzisiaj jednak zdaje się, że działania armii niemieckiej są pewną koniecznością — chyba, żeby Niemcy podjęli uderzenie na Turcję. Jeżeli armia niemiecka nie uderzy na Turcję tej wiosny czy lata, to bodaj nie uderzy już nigdy. Podobnie ma się rzecz z Hiszpanią. Jeżeli armia Rzeszy nie ruszy jej teraz, w tym roku, to Hiszpania wymiga się od wojny. Jest bowiem rzeczą znamieną, że propaganda niemiecka podjęła w czasach ostatnich straszenie Hiszpanii możliwością lądowania sojuszników. Tego rodzaju ostrzeżenia byłyby dotąd wstępem do — własnej akcji.

Kierownictwo Trzeciej Rzeszy musi sobie sprawę zdawać z tego, że rozstrzygnięcie militarne wymyka się zupełnie z rąk. Pozostaje zatem rozwiązanie polityczne. Rozwiązanie polityczne — a więc łudzenie się jakimś pokojem, kompromisem.

W dziedzinie politycznej zanotować należy próby niemieckie stworzenia "komitetu ukraińskiego." Podobnie zarządzenia niemieckie w obrębie "Ostlandu" idą w kierunku udzielenia jakiejś takiej "autonomii" państwom bałtyckim. Co znaczą te ruchy? Są one z jednej strony próbą pozyskania sobie tych obszarów /próbą grubo spóźnioną/, jak również i szantażowaniem politycznym Rosji.

Niemcy będą starały się wyzyskać politycznie owe zastawy, jakie ciągle jeszcze trzymają w rękach. Nie są oni tu całkowicie bezzilni. Polityka niemiecka musi być obecnie o wiele czynniejsza, aniżeli dawniej. Istotnie, rozsyłanie nowych posłów i ambasadorów miało na celu uaktywnienie polityki niemieckiej.

Jakie jednak są w tej mierze możliwości? Zachód powiedział, że jedynie bezwarunkowe poddanie się będzie przyjęte. Starania w kierunku Zachodu są skazań na niepowodzenie. Starania w kierunku Wschodu spotykają się z milczeniem. Wschodnia niemiecka może znaleźć się w zaskakująco jak strategia niemiecka. I wtedy dopiero powstają warunki pełnej klęski Niemiec.

Łondyn, 5-ego kwietnia 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

## Szkic sytuacyjny

## Z tygodnia na tydzień

26 marca: Uroczyste zakończenie drugiego kursu lotników w Szkole Podchorążych Piech. i Kawalerii Zmot. w Szkoeci.

27 marca: Inspektor Lotnictwa gen. Ujejski w imieniu Naczelnego Wodza udekorował na jednej ze stacji lotniczych w północnej Anglii lotników polskich orderem "Virtuti Militari" i Krzyżem Walecznych. Odniesienie brali udział w ostatnich nalotach na Loriant, Kolonj, Hamburg, Essen i w kładzeniu min na wodach nieprzyjacielskich.

28 marca: Wojska Sprzymierzonych zajęły Linje Mareth. — Polskie dywizyjny myśliwskie ostatecznie wyprawy bombowe. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

29 marca: Polskie dywizyjny bombowce w nocy z 28/29 brały udział w bombardowaniu jednej z baz okrętów podwodnych we Francji. Wszystkie zatogi polskie powróciły.

— Polskie dywizyjny myśliwskie w ciągu dnia ostatecznie trzy wyprawy bombowe. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

— Naczelnik Wódz podejmował Szeffa Sztabu Imperialnego gen. Sir Alan Brooke.

30 marca: Gen. Sir Henry Pownall, nowo mianowany dowódca brytyjskiej 10-iej Armii /Persja — Irak/ odwiedził oddziału Armii Polskiej na Wschodzie, stacjonowane

w Iraku. W otoczeniu wyższych oficerów Gościa powitał Dowódca Armii Polskiej na Wschodzie gen. Anders.

— General Sikorski był gościem City Livery Club. Prezydent klubu witając Generała powiedział m. in.: "Serca całego narodu brytyjskiego stoją przy dzielnym narodzie polskim, ceniąc jego bohaterские walki i ogromne ofiary."

— Polskie dywizyjny bombowe bombardowały Zagłębienie Ruhry w nocy z 29/30. Wszystkie zatogi polskie powróciły.

31 marca: Polskie dywizyjny myśliwskie ostatecznie wyprawy bombowe. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

— Lotnicy polscy stacjonowani na Malcie zestrzelili dwa samoloty nieprzyjacielskie w walkach ostatnich dni.

1 kwietnia: W 25-lecie R.A.F.'u Inspektor Lotnictwa gen. Ujejski złożył u stóp pomnika Nieznanego Żołnierza w Londynie wieńiec od lotników polskich.

2 kwietnia: W imieniu Naczelnego Wodza Inspektor Lotnictwa gen. Ujejski udekorował w jednym ze szpitali pod Londynem orderem "Virtuti Militari" i Krzyżem Walecznych kaprala Br. Godlewskiego, który jest Amerykaninem pochodzenia polskiego. Kpr. Godlewski w czasie nalotu na Essen wykazał szczególną odwagę i opano-

wanie w odpieraniu ataków myśliwców nieprzyjacielskich. W czasie walki kpr. Godlewski został ranny; w szpitalu amputowano mu obydwa ręce.

3 kwietnia: W nocy z 2/3 polskie dywizyjny bombowe bombardowały bazy okrętów podwodnych we Francji. Wszystkie polskie samoloty powróciły.

— Polskie dywizyjny myśliwskie przeprowadziły zadania wymiatania nad terenami okupowanymi przez nieprzyjaciela. W wyniku walki uszkodzono jeden samolot nieprzyjacielski. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

4 kwietnia: Polskie dywizyjny myśliwskie ostatecznie trzy wyprawy bombowe, podczas których to operacji zestrzelono dwa "Focke Wulfy 190" napewno, a trzy uszkodzono. Z walk tych nie powróciło pięciu pilotów polskich.

5 kwietnia: W nocy z 4/5 polskie dywizyjny bombowe bombardowały Kiloniję. Wszystkie zatogi polskie powróciły.

W ubiegłym tygodniu polskie dywizyjny myśliwskie przeprowadzały patrolowania dzienne i nocne. Polski dywizyjny bombowy w Dowództwie Obrony Wybrzeża patrolował i zwalczal bardzo skutecznie żegluga nieprzyjacielską.

— Dywizjon Współpracy przeprowadził loty patrolowe.

## W BASENIE ŚRÓDZIEMNOMORSKIM

Rocznica bitwy pod Matapan /27-30 marca 1941/ przypominała światu, że na morzu trzeba być silnym, ale niekoniecznie silniejszym od dominującego przeciwnika. Flota włoska zarówno na początku wojny, jak i w okresie wyżej wspomnianej bitwy, była stanowczo silniejsza od obydwóch eskadr brytyjskich /aleksandryjskiej i gibraltarskiej/, współpracujących strategicznie, ale nie działających prawie nigdy jako jedna całość taktyczno-operacyjna.

Mimo to, mimo przewagi położenia strategicznego Włoch /Sycylia, Sycyllia, Pantelaria, Dodekanez, a potem Grecja z Kretą/, przede wszystkim mimo długiego okresu przewagi lotniczej — siły morskie Mussoliniego nie potrafiły dotychczas nie wskórać, a nawet przeszkodzić poważnie ruchom floty brytyjskiej. Za to w Tarant, pod Matapan i w kilku mniejszych potyczkach poniosły straty bolesne.

Wspominamy o powyższym raz jeszcze nie bez przyczyny. Przecież w Polsce byli ludzie, którzy twierdzili, że marynarki nie należy budować, bo wysięgu zbrojczy w przeciwnika nie wytrzymamy; bo — nie jesteśmy w ogóle w stanie coś na tym polu przedsięwziąć. Poza tym zaś handicapuje nas niekorzystne położenie strategiczne Gdyni.

I oto na Morzu Śródziemnym mamy właśnie przykład, że położenie strategiczne może ulec zmianie przez umiejętne wykorzystanie nowoczesnych możliwości techniki wojennej /sprzęt, umocnienia, inicjatywa operacyjna/, że właśnie na morzu wewnętrzny ład zależny jest od tego co się dzieje na morzu i że inicjatywa, sprawność bojowa i duch zaczepny, łącznie z doskonałym wyposażeniem technicznym, mogą dać zwycięstwo stronie słabszej.

W rzeczywistości — gdyby Polska miała odpowiednią silną Marynarkę Wojenną, zabezpieczoną bazę i potrzebne jej lotnictwo, to cała sytuacja strategiczna Niemiec, nie tylko na Bałtyku, ale w ogóle, zmieniłaby się tak bardzo na niekorzyść Hitlera, że kto wie czy rozpętałaby wojnę? A w każdym razie nie w r. 1939.

To Niemcy bowiem znalazłyby się rozcięte na pół Jutlandia, mając po obu jej stronach wrogi /brytyjskie i polskie/ siły morsko-lotnicze. Polska miałaby nadto w stosunku do położenia strategicznego Rosji z lat 1914-17, przewagę w sensie możliwości atakowania Kanału Kilońskiego

go z powietrza i otwarcia przynajmniej wschodniej /Sund/ cieśniny duńskiej, co dałoby jej kontakt ze Sprzymierzonymi. Wszystko, przy odpowiednim przygotowaniu do wojny, ale bez konieczności przewagi liczebnej nad Niemcami.

Siły adm. Cunninghama we wschodnim Śródziemnomorzu wynosiły /zależnie od okresu/ 2-3 okrętów liniowych, 1-2 lotniskowców, 5-8 krążowników, 18-30 kontrtorpedowców /tych ostatnich ciągle brakowało/, 14-20 okrętów podwodnych i szereg okrętów pomocniczych. Siły adm. Somervilla w Gibraltarze, których zadaniem było także bezpieczeństwo na Środkowym Atlantyku, wynosiły /również zależnie od okresu/ 1-2 okrętów liniowych, 1 lotniskowiec, 415 krążowników, 12-15 kontrtorpedowców, 6-2 okręty podwodnych. Te ostatnie siły — przy dużych zadaniach operacyjnych — były również w trudniejszym strategicznie od Gdyni położeniu, bowiem każdy ich ruch w Gibraltarze śledzony był z Hiszpanii, a jedynym wyjściem była dwunastokilometrowa cieśnina. To też utrzymanie panowania na Śródziemnomorzu po upadku Francji, jest jedną z najchlubniejszych kart historii Marynarki Brytyjskiej i niezawodnie będzie jednym z głównych atutów zwycięstwa.

Pamiętać należy, że Mussolini posiadał czwartą flotę świata /pod względem nowocześnieści, sprzętu, szybkości i t.d. nawet lepszą od francuskiej/ i że w dniu wybuchu wojny miał w linii — 6 pancerników /z tych dwa najnowszej konstrukcji/, 7 krążowników ciężkich, 13 lekkich, około 75 kontrtorpedowców i torpedowców, 130 okrętów podwodnych // i do tego bardzo silne lotnictwo. Że nie nic wskórał — nie jest jedynie winą marynarzy włoskich, ale jest w dużym stopniu zasługą marynarzy brytyjskich.

A dziś na tych wodach mają miejsce nowe wydarzenia o kapitalnym znaczeniu. Wszystko zaś co się dzieje na Morzu Śródziemnym — Podłonia może /w sensie teorii strategicznych/ być ważne i dla Bałtyku — Morza Śródziemnego Północnego. Jedną tylko pozycją: w ciągu 10 dni siły brytyjskie morskie i lotnicze zatopili między Sycylią a Tunisem 14 transportowców, a uszkodzyli

około 60. Ze to ma wpływ fizyczny i moralny na Rommla i Arnima, nie potrzeba tłumaczyć.

## JEDYNE NARZĘDZIE RATUNKU

Pierwszym sukcesem Doenitza — jak dowiadujemy się w ostatniej chwili — jest podporządkowanie floty włoskiej jego przedstawicielowi: admirałowi Fricke. Ten z kolei osiągnął inny sukces, zmuszając Mussoliniego do usunięcia dotychczasowego dowódcy floty bojowej oraz dowódcy transportów. Obaj usunęci admirałowie zostali zastąpieni przez vice-admirała Carlo Bergamini, który ma lepiej od swego poprzednika poprowadzić flotę do boju oraz przez vice-admirała Somigli, który swymi statkami handlowymi ma ratować Rommla.

Z drugiej strony nadchodzą wiadomości, że obie eskadry śródziemnomorskie Wielkiej Brytanii zostały wybitnie wzmocnione. Pod osłoną parasola lotniczego — Malta prawdopodobnie odzyskała swą dawną wartość ważnej morskiej podstawy operacyjnej, o 90 km. od wybrzeża Sycylli a 300 km. od brzegów Tunis. Ponieważ równocześnie Algier i Bône są także w ręku Sprzymierzonych, tedy położenie strategiczne na Morzu Śródziemnym zmieniło się wybitnie na korzyść Brytyjczyków.

Nie spieszą się oni zbyt w Tunisie, bo — jak rzekliśmy — przyzłek tunetański spełnia rolę piwarki, wysysającej siły lądowe, morskie i powietrzne "osi." Uratować się ta pozycja już dla "osi" nie da, chodzi tylko jak ją ewakuować z możliwie najmniejszymi stratami. I tu — flota włoska jest właściwie jedynym narzędziem ratunku. Prawda — pozostaje możliwość ewakuacji powietrzem. Ale przewaga lotnicza Sprzymierzonych i tu utrudni wiele tak imprezę, a przylem "os" musiałaby, porzucić cały sprzęt ciężki.

Niemcy ścigali już na Sycyllie większość bombowców "Luftwaffe", chcąc ich z pewnością użyć dla transportu. Jednak bez pomocy floty włoskiej się nie obejda; to też niebawem będziemy świadkami historycznych wydarzeń na tych wodach.

## WIELKA DROGA PÓLNOCA

Radio niemieckie podało wiadomość, że krążownik pomocniczy

że ulec zdżudzeniu, to w każdym razie najskromniejszy jego raport rośnie w biurach propagandy niemieckiej — jak lawina. A choć straty Sprzymierzonych są duże, to jednak dalekie od cyfr podawanych przez nieprzyjaciela.

Poza tym Marynarka Angielska zniszczyła taką ilość postawionych przez nieprzyjaciela min, że gdyby każda z nich wybuchła pod statkiem — Wielka Brytania nie miałaby już naprawdę tonażu handlowego. Na szczęście jednak miny niemieckie — magnetyczne, akustyczne i kontaktowe — wybuchają najczęściej wówczas, kiedy Marynarka Angielskiej przychodzić chce unieszkodliwić ich. Zastosowanie przyrządu "de Gausse'a," zaraz w pierwszych miesiącach wojny, unicestwiło całą pracę i produkcję w dziedzinie niemieckich min magnetycznych, po których Hitler obiecywał sobie tak wiele.

## TAJEMNICA KRĄŻOWNIKA "SEYDLITZ"

Co się tyczy wiadomości podanej przez gazety, że Niemcy rozbroili będący na ukończeniu w Bremie, krążownik ciężki "Seydlitz," przeznaczonego jego kadłub i urządzenia na rozbiórke, celem wzmocnienia budowy okrętów podwodnych — to wiadomości ta wygląda mocno na spreparowaną przez... samych Niemców. Krążownik był w budowie od stycznia r. 1939 — i gdyby nawet nie był wykończony, to musiałby być w ostatnim stadium przed gotowością. Poniechanie wykończenia mogłoby mieć miejsce chyba tylko w wypadku wykrycia jakiejś wady konstrukcyjnej, co jest mało prawdopodobne, albowiem jest to czwarty okręt tego typu /"Blücher" zatopiony w Norwegii, oraz "Admiral Hipper" i "Prinz Eugen" były prototypami/. Wreszcie "przerobienie" krążownika na kilka okrętów podwodnych jest rzeczą łatwą tylko w pojęciu laików.

Inna wersja twierdzi, że uzbrojenie "Seydlitza" zostało użyte do wzmocnienia baterii nadbrzeżnych w obawie desantu. Ale najprawdopodobniej Niemcy puścili te pogłoski sami, chcąc ukryć wejście do linii tej nowej jednostki bojowej. Krążownik "Seydlitz" miał wypierać 10-12 tysięcy ton i posiadać uzbrojenie główne 8-9 dział 203 m/m. Piąty okręt tego typu również był w budowie.

JULIAN GINSBERT

## Wojna na morzu

# Od wrót Tamerlana do Piccadilly

## V. Ziemia Święta\*

S.D.I.C.

### CUD WOLNOŚCI

Szliśmy wąską, pełną śniegu dróżką z pułkownikiem Gr. — jednym z tych świątliwych oficerów polskiej kawalerii, co szerokim horyzontem myślowym i głęboką wiedzą zadają kłam twierdzeniom, jakoby za kawalerzystę musiał myśleć koń, a za oficera dyplomowanego — cywil. Pułkownik Gr., który pół świata w życiu zjeździł, a nieraz i przeszedł, jadł chleb z niejednego pieca, a Wschód zna jak swoją kieszeń — i tym razem sięgnął do swoich przygód na pustyni... Mówił jasno, krótkimi zdaniem i tak zwieszę, że przed oczyma słuchacza stawał, jak wycharowany, obraz bezmiernych piaszków, zgubionego wśród nich samochodu, bijącego z mroków nocy światła stacji rurociągu na pustyni, a w końcu pięknego salonu, w którym wśród czterech ubraonych w smokingi mężczyzn, królowa angielska Atlantyda...

W okolo leżał śnieg na metr wysoko, chyliły się smutnie podpołtarne brzozy, z kępki sosen, ponuro kraczące, wzbijało się co chwila jedne ptactwo tych okolic, wrony — a my chodziliśmy tam i z powrotem po wydeptanej w śniegu, oślizgłej ścieżce. Sto metrów, zamkniętych poczwórnym rzędem drutów, za którymi widniał „na wyzycie” wartownik w kozłach, z wymierzonym na obóz karabinem...

Pułkownik opowiadał o gorącym piasku Południa, o czarach Wschodu i pięknej kobiecie w wytornie urządzonego pokoju... Para obficie wydobywała się z jego ust, obmarzając na swej brodzie białymi soplami. Termometr wskazywał na ciepłe stosunkowo popołudnie — minus 20° w słońcu, co wobec niedawnych — 52° wydawało się zupełnie miłą temperaturą. Reszty dokonywała rozgrzewająca serce opowieść, jak bajka — daleka od rzeczywistości, a jednak tak żywa i świeża, że przenosząca nas w inny, szczęśliwy świat. Kto by u wierzył, że bajka ta stanie się rzeczywistością?

Chodziliśmy tak często, rozmawiając. Umówiliśmy się, że w takich chwilach umyślnie nie będziemy poruszali tematów związanych z teraźniejszością ponurą i quasi beznadziejną. Raz pułkownik, raz ja, opowiadaliśmy jakąś ciekawą i miłą historię, której na imię „Przygoda.” Przenosiło to nas w ów inny, szczęśliwy świat — raz do Wenecji, raz do St. Malo czy St. Michel, raz na paryskie bulwary, to znów w mury Teheranu, piaski Syrii czy góry Libanu. I choć wierzyliśmy mocno w Tę, co nie zginęła, to jednak nikt z nas nie spodziewał się, że „droga do wolności” — jak nazywaliśmy ową zaśnieszoną ścieżkę — otworzy się przed nami tak rychło...

A teraz, kiedy samochód pułkownika Gr. zatrzymał się przed wspaniałym hotelem „King David” w Jerozolimie i wysiedliśmy z niego — do niedawna obszarpani, obrośnięci, zawieszani i zmarznięci więźniowie — nie było słów, które mogłyby wyrazić wdzięczność naszą Opatrzności. Bo tylko Wola Boska mogła z nas — Łazarzy, ojczyzny pozbawionych — uczynić wolnych, zbrojnych i żądnych odwetu żołnierzy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej...

### MIASTO KRÓLA KRÓLÓW

Idzie się dość długo od starych fortecznych murów, które marszałek Allenby kazał sobie otworzyć, by wjechać na białym koniu do Świętego Miasta... Idzie się wąską, sklepioną uliczką, po coraz to bardziej wyszlizganych kamiennych. Ile milionów ludzi szło tędy od wieków, by ukorzyć się u stóp Tego, co był Miłością!... A choć zrozumiany nie został — ani wówczas, ani dzisiaj — to jednak tu właśnie owe miliony szukały pociechy, ukojenia, przebaczenia czy osłody...

Skręca się w prawo, kamienie stają się tak śliskie, że trudno się na nich utrzymać. Polerowały je stopy ludzkie przez prawie 2000 lat... Koza, koń czy osiołek zja-

\* Por. poprzednie artykuły cyklu: „Przez piaski Kara — Kum” druk w nr. 1, „Śladami Aleksandra” druk w nr. 6, „Droga do Bagdadu” druk w nr. 9, „Ku Ziemi Obiecanej” druk w nr. 13, „Polski Walczącej” z b.r.



wiają się — niczym wizja pasterka z Betleem. Aż nagle — bez perspektywy — stajemy przed dużą Bazyliką, co ramiona trzęsieniem ziemi, wznosi swe stare mury wśród pajęczyny belek i rusztowań. Czyżby trzęsienie ziemi przyszło po to, aby przypomnieć ludziom, że nie wypełniają przykazań Tego, co zasada „oko za oko, ząb za ząb” zamienił w szlachetne — „kochaj bliźniego”? Czy może przyszło jako zwiastun nowych kłesk dla nieoprawnej ludzkości — przedświt Sądu Ostatecznego? Kto wie?

Wchodzimy do wewnątrz. Ogarnia nas półmrok, w którym postaci mnichów wydają się apostołami przeszłości, strażącymi tu bez ruchu od wieków. Schylamy się pod półkolistą arkadą, tak niską, że raczej na wzrost dziecka obliczoną. I oto w słabym świetle lampy kłękamy przed GROBEM, nad którym modli się stojąc, młody, o ascetycznej twarzy zakonnik.

Gdy podnosimy wzrok, mnich patrzy na nas dobitnie, z jakimś niewysłowionym wyrazem serdecznej słodyczy w dużych, pięknych, zalazwionych wrzusem oczach. Czy zrozumiał co

dzieje się w sercach żołnierzy-tułaczy? Czy po prostu współczuł i radował się z nami? Czy, jak my niegodni, czuł w tej chwili całą potęgę Pana naszych losów? Trudno powiedzieć. Dość, że patrzył na nas z życzliwością i dobrocią, której tak bardzo byliśmy spragnieni. Wyraz jego dobrych oczu na zawsze pozostanie nam w pamięci.

Odwiedziliśmy Górę Oliwną, Betleem, serpentynami pomknęliśmy do Morza Martwego. Wieczór już zapadał, gdy siedliśmy ponownie na okwieconym tarasie hotelu „King David,” obsługiwani przez ciemnego Hindusa w śnieżno-białym stroju. Zgadyniał w lot nasze myśli, a był nam tego pamiętnego dnia bliższy od niejednego Europejczyka...

Wśród marmurowych kolumn olbrzymiego salonu, w którego ogromie ludzie, dość liczni, ginęli jakby nie istniejąc — czuliśmy się tak, jak Xenofontowi Grecy na brzegu zbawczego morza... Tyłko, że przystań, którą w dniu tym osiągnęliśmy, była o ileż bardziej pełna wzniosłego, gorącego od wdzięczności szczęścia...

### DROGA DO EGIPTU

Rozdancingowany Tel-Aviv, zresztą gościnny i europejski — nie bardzo mnie interesował. Przy-

jemnością było kąpienie się w falach Śródziemnomorza, no i spotkanie kilku starych znajomych — wojskowych i pisarzy. Mniej przyjemny był rozpolitykowany „parlament emigracyjny” i żale pewnej rodaczki, z tragiczną miną opowiadającej, „co to ona wycierpiała na Cyprze, zmuszona mieszkać w trzeciorzędnych hotelu.”

„Schadenfreude” jest brzydka rzecz, ale może było jej trochę w mnie, kiedy któregoś dnia, między rozbawioną rzeszę snobów, aferzystów, i międzynarodowych awantur, padło — zresztą bez szkody — kilka pocisków nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego. Trzeba było zobaczyć ten popiół...

Pięknie odbijała od tego prowincja, której ludność chrześcijańska, żydowska i arabska pracowała i tworzyła, zamieniając Palestynę na ziemię naprawdę „miodem i mlekiem płynącą.” Szczególnie, rolnicze kolonie żydowskie zasługiwały na uznanie, a ludność ich w niczym nie przypominała naszych znajomych z Nalewek czy Kazimierza.

Któregoś dnia i ta bajka się skończyła. Z małej stacyjki El-Majdat wyruszył pociąg, ohrzczony moim nazwiskiem /co za dumę!/. Wiózł 600 żołnierzy

## Polski statek ratuje 1022 ludzi

Najdramatyczniejsze epizody obecnej wojny rozgrywają się z pewnością na morzu. Większość tych epizodów nie znamy, a przeżywając je ludzie, niejednokrotnie prawdziwi bohaterowie, są dla nas nieznani. Tak niestety musi być. Strategia morska tego wymaga.

Ale, gdy po wojnie t.zw. „tajemnica wojskowa” nie będzie już obowiązywać, wszyscy będą podziwiać — i, należy sądzić, doceniać — pełną poświęcenia pracę i bohaterstwo ludzi, którzy na okrętach i statkach flot wojennych i handlowych sojuszników prowadzili na morzach i oceanach świata największą może i najbardziej godną w dziejach walkę. A Polacy z dumą wówczas stwierdzą, że udział okrętów Rzeczypospolitej i statków Polskiej Marynarki Handlowej w tej walce był naprawdę bardzo poważny i chwalebny.

Nie czekając jednak końca wojny, systemem „kamouflażowym” wolno raz poraż opowiedzieć epizod, który się wybił nawet w tej tak pełnej emocji wojnie. Tym samym systemem chcemy dziś opowiedzieć wypadek, którego bohaterem był statek Polskiej Marynarki Handlowej, a który przez Brytyjczyków, a ściślej mówiąc przez Brytyjską Admiralicję i Navy /a to ma swoją wymowę/ został oceniony, jako wyczyn morski wysokiej klasy.

Dla „kamouflażu” statek polski nazwiemy s/s „Tatry”, jego kapitaną zaś Przeszkodą, choć — jak dalej zobaczymy — ten pseudonim kapłana zupełnie nie pasuje do jego osoby, charakteru i umiejętności.

Pewnego dnia kapitan Przeszkoda otrzymał meldunki, że na trasie jego statku większa liczba nie-

mieckich okrętów podwodnych atakuje statki sojusznicze. Zalecano, by s/s „Tatry” zmienić kurs.

Jeszcze kapitan nie zdążył powziąć decyzji, gdy nadeszła nowa wiadomość: „... brytyjski linowiec pasażerski „Huragan” /nazwa zmyślona — uw. autora/trafiony trzema torpedami; na pokładzie ponad tysiąc ludzi... S.O.S. ...”

Nieco później z pokładu „Huraganu” nadano jeszcze przez radio ostrzeżenie, że w pobliżu tonącego statku wciąż znajdują się niemieckie okręty podwodne.

Kapitan Przeszkoda miał dwie alternatywy: ratować własny statek, no i własną skórę i ujęć z pola działania okrętów podwodnych nieprzyjaciela, albo też pośpieszyć na ratunek tysiąca rozbitek „Huraganu,” i wtedy samemu narazić się na storpedowanie. Kapitan zdecydował się na drugie.

A jak tę decyzję Polaków i całą akcję ratowniczą ocenili Brytyjczycy, o tym najlepiej mówi następujący urywek pisma Brytyjskiej Admiralicji: „... decyzja kapłana Przeszkody zatrzymania statku w biały dzień, na okres osmiu godzin, celem zabrania pierwszej większej partii rozbitek, i to wtedy, gdy wiedział o wciąż krążącym w pobliżu okręcie podwodnym nieprzyjaciela — jest przykładem zimnej krwi i odwagi, która domaga się najwyższego uznania. Jego spokojne i pogodne zachowanie się również zasługuje na najwyższą pochwałę. Był nieustraszoną w uśmianach zapewnienia pasażerom jak najlepszych warunków. Ani na chwilę nie opuścił mostku kapitańskiego i wykonywał swój bardzo odpowiedzialny obowiązek w sposób, który był pięknym przykładem dla wszy-

stkich. Jest wspaniałym człowiekiem...”

W wyniku tej odważnej akcji, s/s „Tatry” zdołał uratować 1022 rozbitek „Huraganu.” A potem statek polski zręcznym manewrem nawigacyjnym wymknął się z czyhającej na oceanie „tyralier” okrętów podwodnych wroga, wysadzając uratowanych rozbitek cało w jednym z portów Imperium Brytyjskiego.

Brytyjska linia okrętowa, będąca właścicielką „Huraganu,” wyraziła swe uznanie i wdzięczność za uratowanie pasażerów jej statku przez wręczenie kapitanowi Przeszkodzie pięknej srebrnej paterę ze stosowną dedykacją.

Uratowani pasażerowie wyrażali żalode polskiego statku swą wdzięczność każdy na własny sposób. Ofiarowali różne pamiątki, po przybyciu do portu gościli marynarzy na lądzie, ktoś napisał wiersz na cześć „Tatry” i jego załogi, ktoś inny udzielił brytyjskim dziennikarzom wywiadu, w którym się wyraził, że kapitan Przeszkoda oraz podwodni mu oficerowie i marynarze to najzaciejsi i najodważniejsi ludzie, jacy pływają po morzach. Ktoś jeszcze inny powiedział krótko: „... Polska, to musi być wielki naród, jeśli posiada takich ludzi, jak ci, którzy tworzą załogę „Tatry”...

Wszystko to nie wymaga chyba komentarzy. Aż nadto dobitnie mówi, że Polska Marynarka Handlowa — jak nasza Marynarka Wojenna — nie tylko bierze czynny udział w walce na morzach, nie tylko przewozi cenne ładunki wojenne i transporty wojsk, ale również utrwała w świecie wielkość imienia Polski i Polaków.

WIESŁAW WALIGORSKI

JIM POKER

# Rozbudzony olbrzym

"Jest rzeczą niezmiernie doniosłości, by kraj był świadomy postępów dokonywanych w wysiłku wojennym — w największym mierze na jaką pozwalają względy bezpieczeństwa... Społeczeństwo demokratyczne ma prawo znać faktyczny stan rzeczy, zaś demokratyczny rząd musi zawsze — zarówno w czasach krytycznych jak i w latach spokojnych — posiadać współpracę tak światłej krytyki swoich obywateli jak i orientującego się w rzeczywistości, popierającego go społeczeństwa."

Te słowa Prezydenta Roosevelta — wyjęte z listu do p. A. MacLeish'a dyrektora *Office of Facts and Figures* — napisane na pięć dni przed atakiem japońskim na Pearl Harbor, najlepiej ilustrują kierunek rządzenia, istniejący w najsilniejszym mocarstwie świata. Bo zdaje mi się, że do tej nazwy Stany Zjednoczone dorosły. I wydaje się rzeczą pożyteczną ujrzeć "program wojennego" Stanów, zorientowane się — możliwie dokładnie — kiedy i w jakim stopniu zaważą one na losach obecnej wojny.

W rozważaniach naszych oprzećmy się na oficjalnych danych publikowanych ostatnio przez *Office of Facts and Figures*. Ponadto zaś uzupełnimy je jeszcze najświeższymi obserwacjami zamieszczanymi stale w najlepszym angielskim tygodniku gospodarczym "*The Economist*" w specjalnej rubryce p.t. "*American Survey*." Znajdujemy tam zawsze szereg notatek ilustrujących, niezmiernie ciekawie, stan spraw gospodarczych Stanów, rejestrujących wszelkie zmiany jakie w tym życiu zachodzą. Z prasy amerykańskiej zaś musimy przytoczyć miesięcznik "*Fortune*" wspaniale redagowany, jak również kwartalnik "*Foreign Affairs*" najpoważniejszą organ opinii amerykańskiej, najlepsze, prawdziwie bezstronne źródło.

## FRONT PRODUKCJI

Jaki był "program wojenny" Stanów Zjedn., z czym weszły one do wojny i co zamierzają dokonać w ciągu 1942 i 1943? Oto pierwsze zasadnicze pytanie w naszych rozważaniach.

Odpowiedź na nie znajdujemy w orędziu Prezydenta Roosevelta do Kongresu, z grudnia 1941. Gdy Stany Zjednoczone wkroczyły do wojny. Program ten przedstawiał się następująco:

|              | 1942      | 1943       |
|--------------|-----------|------------|
| samolotów    | 60,000    | 125,000    |
| czołgów      | 45,000    | 75,000     |
| dział plotn. | 20,000    | 35,000     |
| marynarka    | ton       | ton        |
| handl.       | 8,000,000 | 10,000,000 |

To tylko niektóre "zasadnicze" cyfry odnoszące się do najważniejszych pozycji. Należy sobie zdać sprawę, że żaden inny naród na świecie nie mógłby zakreślić takich rozmiarów produkcji wojennej w tak krótkim czasie. /Autora jako "przeciwlotnika" korci chęć podkreślenia wielkiej roli przywiązywanej przez Amerykę do spraw artylerii przeciwlotn. czego dowodem olbrzymia ilość sprzętu, przewidziana dla tej właśnie broni/.

Program ten ogłoszony był w grudniu 1941. Jakże przedstawia się sytuacja dziś, w pełni drugiego roku udziału Stanów w wojnie? Pierwszy okres przyniósł nam wiele smutnych nowin. Japończycy — niedocenieni przez Sprzymierzonych — odnieśli szereg niezmiernie doniosłych sukcesów. Wydaje się, że rezultaty osiągnięte przez nich w ciągu sześciu miesięcy przewyższają nawet "wyczyny" Hitlera odniesione w ciągu całego pierwszego i to niezwykle pomyślnego — roku wojny. Stany w ciągu tych sześciu miesięcy znajdowały się w defensywie. Ale był jeden odcinek frontu, gdzie atak prowadzony był w pełni. Odcinkiem tym był front produkcji. I na tym froncie zostały odniesione rzeczywiście wielkie sukcesy. Front produkcji nie zawiodł pokładanych w nim nadziei.

Nie mam zamiaru obarczać czytelników nadmiarem cyfr, ale wydaje mi się, że wystarczy jeśli podam, iż według oficjalnych oświadczeń zawartych w przemówieniach

wyłoszonych po drugiej stronie Atlantyku, w ostatnich dniach, można już dzisiaj — na podstawie wyników produkcji osiągniętych dotychczas — stwierdzić że program nakreślony przez prez. Roosevelta w grudniu 1941, został nie tylko przeprowadzony, ale przekroczony! To, wydaje mi się, zastąpi najlepiej wszystkie cyfry. Dodam zaś tylko jedną cyfrę najbardziej świadcząca o ogromie wysiłku wojennego Stanów. Jest to cyfra kredytów udzielonych przez ciało ustawodawcze do dyspozycji rządu Stanów Zjednoczonych na sfinansowanie programu zbrojeń. Całość przyznaną na ten cel sum zamyka się — wprost astronomiczną cyfrą: 164 miliardów dolarów. Może bardziej uplastyczni tę cyfrę zaznaczenie, że odpowiada ona, ni mniej ni więcej — tylko około trzysty normalny budżet Państwa Polskiego. To chyba mówi samo za siebie.

Przystępując do pracy, Stany przekreśliły dotychczasowe hasło: "*Business as usual*." Zastąpiły je nowym: "*Business as never before!*" Wydaje mi się, że to charakteryzuje najbardziej przemianę, jaka dokonała się w opinii publicznej, w umysłowości każdego obywatela Stanów.

War Production Board podporządkował sobie całość produkcji. Człowiek o symbolicznym nazwisku p. D. Nelson, jest faktycznym dyktatorem całej produkcji Stanów, a raczej można powiedzieć całego życia gospodarczego tego kraju. Kieruje on całością wysiłku Stanów. Zobaczmy teraz jak ten wysiłek jest wykonywany i kierowany w odpowiednie łóżyska.

## FLOTA

Największym problemem morskim Stanów jest konieczność posiadania floty "dwóch Oceanów." Atlantyk i Pacyfik — oto dwa olbrzymie sektory działalności, oba jednak ważne. Tempo rozbudowy floty ilustruje najlepiej taki przykład. 14 czerwca 1940 Kongres zatwierdził plan rozbudowy sił morskich wynoszący 11% stanu dotychczasowego. Pięć dni później rozmiary tego planu zostały "nieco" zmienione. Bo z 11% do 70%. Było to wyciągnięciem konsekwencji z załamania się Francji. Rozbudowa floty kosztowała miesiąc — w końcu 1940 r. 179 milionów dolarów. Za rok 1941 koszt ten zamknął się cyfrą trzech miliardów dolarów.

W chwili ataku japońskiego flota Stanów posiadała 17 okrętów liniowych, zaś w budowie 15 dalszych, 7 lotniskowców w linii, a 11 w budowie, 37 krążowników, a — 54 w budowie, 171 kontrtorpedowców, a 193 w budowie, 118 okrętów podwodnych — 73 w budowie. To są tylko siły główne, którymi się zajmujemy. Pomijamy setki statków pomocniczych, stawiaczy min, statków patrolowania wybrzeży i t.p. Dorzucimy jeszcze tylko 2,000 samolotów, którymi flota rozporządza. I które — jak tego dowodem wyniki ostatnich bitew morskich — coraz bardziej dają się we znaki Japończykom.

Mówiąc o flocie wojennej, nie możemy zakończyć naszych uwag, bez podkreślenia roli floty handlowej Stanów. Flota handlowa w tej wojnie jest dla Sprzymierzonych niewątpliwie istotną częścią sił zbrojnych. I to właśnie walcząca nieustannie w pierwszej linii frontu, wystawiona na ataki nieprzyjaciela dzień i noc. Flota handlowa Stanów była faktycznie do wybuchu wojny dla Stanów, t.j. do 7 grudnia 1941 — nie narażona na straty. Sytuacja uległa radykalnej zmianie w ostatnim półroczu. Stany poniosły poważne straty. Setki statków zostało zatopionych przez okręty podwodne i samoloty państw osi. Ale program rozbudowy floty handlowej, przewidujący spuszczenie na wodę w 1942 r. 8 milionów ton został realizowany z taką szybkością, że istnieje uzasadniona podstawa do wyrażenia poglądu, iż nadeszła już chwila, w której straty marynarki handlowej są całkowicie wyrównywane przyrostem nowych statków wypuszczanych przez stocznie.

## U.S.A. ARMY

Pamiętać musimy, że słowo "armia" oznacza w Stanach nie tylko siły lądowe — jak to ma n.p.

w miejsce w W. Brytanii. W Stanach w skład "armii" wchodzi również siły powietrzne. W tym wypadku Amerykanie okazali się bardziej konserwatywni od Anglików. I nie okazują bynajmniej chęci zmiany swego punktu widzenia. Są z niego nader zadowoleni. Zaczniemy od sił lądowych. W chwili upadku Francji siły te wynosiły 230 tysięcy żołnierzy i 13,500 oficerów. Raczej skromnie, jak na Stany Zjedn. — każdy musi to przyznać. Dochodziło do tego, co prawda, jeszcze 225,000 Gwardii Narodowej, częściowo uzbrojonej, której wartość wojskowa była raczej dość wątpliwa. To był "kapitał zakładowy," z którym Roosevel zwał się do roboty.

W rok później — w jesieni 1941 — armia wynosi już półtora miliona ludzi, którzy wszyscy przeszli w ciągu lata 1941 niezwykle intensywne ćwiczenia polowe. Armia otrzymywała do wykorzystania raporty obserwatorów amerykańskich z wszystkich placów boju w Europie i Afryce. Dzieliła się ona na 4 korpusy, które z kolei rozpadały się na 34 dywizje.

15 stycznia 1942 minister wojny oznajmił w Kongresie dalszy plan rozbudowy armii, według którego, wynosić miała ona — na koniec 1942 — 3,600,000 ludzi.

W rzeczywistości zaś stan jej w grudniu 1942 roku przekroczył 4 i pół miliona ludzi. Na koniec b.r. ma ona osiągnąć stan 7 i pół miliona żołnierzy, zaś na koniec 1944 ma dojść do nieprawdopodobnej cyfry 11 milionów ludzi. Stany chcą mieć u końca tej wojny armię takich rozmiarów, by mogła ona stanowić czynnik decydujący o przyszłości świata.

Zaletą tej armii jest, że nie posiada ona "bagażu" starego sprzętu i starych ludzi. Sprzęt jej jest najnowocześniejszy, ludzie — poczynając od szczytów — też. Nie mają oni na sobie skorupy przeszłości, mogą więc nie są pokryte pleśnią doktryn przetrzymałych, dobrych do muzeów ale nie nadających się na pola bitew 1943 roku. I dlatego można patrzeć z ufnością na tę młodą armię, rokującą piękne nadzieje.

Wyposażenie tej armii w sprzęt najnowocześniejszy stanowi główne i troskę przemysłu amerykańskiego. "Pula" produkcji sprzętu zaspokoi wszelkie żądanie — wszak samych tylko czołgów zbudowały Stany w r. 1942 45,000. Tyle przewidział prez. Roosevelt w swoim planie. A niedługo potem w Detroit — stolicy przemysłu samochodowego — jeden z głównych *leaderów* tego przemysłu oświadczył publicznie, że według obecnych warunków, za dołną granicę, produkcji należy przyjąć, w 1942 roku, cyfrę 50,000 czołgów. Czyli już "dodatkowych" pięć tysięcy czołgów. Bagatela.

Tak samo jest ze wszystkim. Produkcja dział wzrosła w ciągu ostatniego roku pięciokrotnie, produkcja amunicji dziesięciokrotnie. To wszystko musi decydująco zaważyć na szali.

Jeśli chodzi o siły powietrzne, to wiemy, że w żadnej bronii ostatnie kilkanaście lat nie przyniosło tak rewolucyjnych przeobrażeń jak właśnie w lotnictwie. Stany Zjednoczone były zawsze krajem o najbardziej rozwiniętym lotnictwie komunikacyjnym. Posiadają więc kadry tysięcy doświadczonych, "oblatanych" pilotów. W 1940 roku armia wyszkoliła 7,090 pilotów — w 1941 ilość ta wzrosła do 12,000. Program na 1942 r. przewidywał zwiększenie sił powietrznych o 20,000 kadetów miesięcznie.

Lotnictwo to wyposażone jest w najnowsze aparaty. Naturalnie, że dane techniczne, cechujące nowe typy samolotów — z natury

rzeczy — okryte być muszą ścisłą tajemnicą, ale opierając się na oświadczeniach amerykańskich ekspertów lotniczych, cztery typy tych samolotów są bez konkurencji w porównaniu z analogicznymi modelami używanymi przez lotnictwa innych państw. I w tej dziedzinie Stany wykorzystają do świadczenia wszystkich państw walczących.

Wykorzystały je też w dziedzinie organizacji lotnictwa. Jedną z cech charakterystycznych lotnictwa Stanów jest n.p. bardzo ścisła współpraca i łączność organizacyjna lotnictwa z wojskiem lądowym. Według opinii ekspertów amerykańskich rozdział lotnictwa od sił lądowych n.p. w W. Brytanii posunął się zbyt daleko. Nadto lotnictwo Stanów cechuje przywiązanie wielkiej wagi i należyta rozbudowa lotnictwa nurkującego, którego brak stanowił piętę achillesową RAF'u i dawał się we znaki w wielu operacjach militarnych.

Doprawdy warto obserwować pilnie nauki i wnioski wyciągnięte przez Stany z doświadczeń europejskich. Wiele można z tego skorzystać. Amerykanów cechuje, niezmiernie wysoko rozwinięty, zdrowy chłopski rozsądek i niechęć do "tradycji," która — zwłaszcza w dziedzinie wojskowej — jest dzisiaj po prostu katastrofalna. Dlatego też warto patrzeć na Amerykanów — zrzuciwszy pychę z serca i pozbywszy się fałszywego poczucia wyższości, które niestety jakże często /a jak niesłusznie/, cechuje Europejczyków.

\* \* \*

Całość armii Stanów — na koniec 1943 r. — obliczana jest na 7 milionów żołnierzy. Armia ta wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt będzie stanowić decydujący czynnik w obecnej wojnie. Nie ludźmy się — to ona wygra tę wojnę. Ale gotowa do tego dzieła będzie dopiero pod koniec 1943. I dopiero wtedy może się rozpocząć rozgrywka zasadnicza. To zaś co dzieje się obecnie, to jest tylko wyczerpywanie przeciwnika, niszczenie jego rezerw ludzkich, osłabianie go przed decydującą walką.

\* \* \*

## LEND AND LEASE ACT

Ale musimy pamiętać, że Stany poza wyposażeniem własnej — tworzonej w prawdziwie amerykańskim tempie — armii, zaopatrują w sprzęt, żywność, leki, odzież i wiele innych rzeczy, wszystkich sojuszników. Nie darmo noszą one zaszczytny tytuł "arsenału demokracji." Zaopatrzenie sojuszników umożliwił słynny *Lend and Lease Act*. Jest to rzeczywiście wielka zdobycz. Bodaj, że największa w obecnej wojnie.

Cel *Lend-Lease Act'u* jest w pierwszym rzędzie militarny. Jest on narzędziem wojennym. Tekst ustawy powiada: "zapłatą dla Stanów Zjednoczonych będzie płatność w gotówce lub w naturze, albo każdy bezpośredni lub pośredni zysk, który Prezydent uzna za zadawalniający." Niewątpliwie najważniejszym zyskiem będzie pokonanie państw osi. Stanowić ono będzie najlepszą zapłatę.

\* \* \*

## KOMUNIKACJA

Zanim zakończymy nasze uwagi o rozwoju sytuacji w Stanach, chcielibyśmy raz jeszcze podkreślić znaczenie sprawy komunikacji. Problem *shipping'u* — oto sęk. Nie dość jest wyprodukować. Trzeba dowieźć. Powietrzem można dostać jedynie samoloty — i to nie wszystkie. Tylko dalekosiężne bombowce. Ale już myślicielew nieposobów powietrzem transportować. A cóż dopiero mówić o czołgach, działach lub amunicji, które trzeba porządkować, dosłownie, po całym świecie. A niestety okręty podwodne, ani Focke-Wulf'y dalekiego zasięgu, nie próżnują.

Rok temu — na wiosnę 1942 — sytuacja przedstawiała się bardzo groźnie. Alianci znajdowali się w deficycie tzn. straty wyrządzone przez niemieckich korsarzy podwodnych, przewyższały produkowane tonaż. Wielką zaletę Amerykanów stanowiło, iż nie ukrywali tego stanu rzeczy przed swoim społeczeństwem. Umieją oni mówić prawdę — nawet gdy prawda jest niemiła i gorzka. Doskonale przykład tego stanowił jeden z ze-

sztyłów wielkiego miesięcznika amerykańskiego "*Fortune*" z ub.r., przynoszący obszernie rozważania na temat strat morskich i zestawienie ich z produkcją nowych statków spuszcanych na morze.

Kryzys został opanowany w lecie 1942 r. O sile i wielkości tonażu będącego w rozporządzeniu flot Sprzymierzonych, najdobitniej świadczy przeprowadzenie operacji północno-afrykańskiej w listopadzie 1942 r. kiedy to przewieziono pół miliona żołnierzy, wraz ze sprzętem, mimo tego, iż praca konwojów z Ameryki do W. Brytanii oraz do Rosji, ani na chwilę nie uległa wstrzymaniu.

Obecnie sytuacja jest lepsza. Premier Churchill dwukrotnie zapewnił w przemówieniach, iż cyfry bezwzględne tonażu alianckiego rosną. Nie oznacza to jednak wcale, by "bitwa o Atlantyk" miała słabnąć i Czytelnicy nasi widzą najlepiej z rubryki morskiej "*Polski Walczący*" jak zażarty bój toczy się dzień i noc w tej najdłuższej i najważniejszej z wszystkich bitew obecnej wojny. Dlatego też należy pamiętać, że rozbudowa floty handlowej jest dla Aliantów imperatywem nr. 1. I, że właśnie dlatego Henry Kaiser jest jedną z najpopularniejszych osobistości w Stanach. Bo zdołał znakomicie przyspieszyć tempo budowy statków handlowych.

\* \* \*

Nie będziemy już omawiać dalszych — niezmiernie zresztą ciekawych — problemów Stanów Zjednoczonych, jak na przykład zagadnienia sił roboczych, dostawy surowców, wysiłku finansowego, problemu cen i t.p. Są to wszystko zagadnienia na dużą, "amerykańską" skalę, ale możemy być spokojni, że Stany dadzą sobie z nimi radę. Mogą mieć te lub inne kłopoty, ale na całokształcie obrazu, na ostatecznym wyniku — nie zaważy to wcale. I nie opóźni ani na chwilę programu wytyczonego przez prez. Roosevelta. To jest pewne.

Badając rozwój sytuacji w Stanach, patrząc, od miesięcy, na cyfry, suche, ale zarazem ileż mówiące! — jesteśmy wielkimi optymistami. Jesteśmy pewni, że rok 1943 może być najtragiczniejszym rokiem w historii Niemiec. Począją oni na swej skórze ogrom wysiłku Stanów, przekonają się dobitnie jakiego olbrzyma wyzwoli. I zostaną zgruchotani doszczętnie.

\* \* \*

## PO WYGRANIU WOJNY — WYGRAĆ POKÓJ

Olbrzym rozbudził się. Powyżej przedstawiliśmy kilka cyfr dobitnie ilustrujących ten fakt. Stany Zjednoczone długo nie miały ochoty mieszać się w spory europejskie. To nie była "ich wojna." Ale zostały do niej wciągnięte. Praktyczne mozgi amerykańskie wyciągnęły z tego wszystkie konsekwencje. Stany chcą tę wojnę wygrać.

Wiadomości zaś dochodzące obecnie — w czasie wizyty min. Eden'a w Stanach — zwa Atlantyku, świadczą o tym, że Stany chcą nie tylko wygrać tę wojnę, ale także i pokój po niej. Że mają zamiar wziąć czynny i decydujący udział w powojennej odbudowie zrujnowanego świata. Że nie mają chęci zaprzestania gigantycznej produkcji przemysłowej na jaką obecnie nastawiły całe swoje życie gospodarcze. Tylko, że przestawią ją z wojennej na pokojową. Że miast bombowców dostarczać nam będą samolotów komunikacyjnych, zamiast armat — plugów, zamiast czołgów — traktorów i samochodów. Że pragną pozostać wierne zasadzie *Lend and Lease Act'u*, która mówi, że ma on dopomóc nie tylko do wygrania wojny, lecz również i do wygrania pokoju. Możemy mieć uzasadnioną nadzieję, iż nie będzie już powrotu — w polityce Stanów — do izolacjonizmu, jak to, niestety, miało miejsce po zeszłej wojnie światowej.

Napewno zaś Polacy mają szereg powodów, by specjalnie silnie cieszyć się z tych wszystkich przemian zachodzących w Stanach Zjednoczonych. I by — całym sercem — życzyć rozbudzonemu olbrzymowi powodzenia w realizacji jego planów. Tak wojennych, jak i pokojowych!

STEFAN ŻUROWSKI

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM

ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd

CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

\* "Report to the Nation." The American Preparation for War. Published in Washington, D.C., by the Office of Facts and Figures, 1942.

# W Afryce Zachodniej

B.D.I.C



Panowie na plaży

III.\*

## ZAMIESZKUJE W "ULU"

Dostają stałą kwaterę. Nazywa się po angielsku *bush hut*, a bracia Polacy ochrzcili ją natychmiast — ul, tylko przeznaczony dla ludzkiego użytku. Ulepiony z czerwonej gliny, okrągły, z trawiastym, spiczastym dachem. Strzecha trzyma się na kijach bambusowych. Uł ma trzy okna z okiennicami i drzwi. Podłoga specjalnie luksusowa z cementu no i lampa elektryczna zwieszająca się z bambusowego stropu. Jest chłodny i przewiewny. Podobno dach nie cieknie. Mam poważne wątpliwości co do tego ostatniego twierdzenia, ale nie wiem, czy uda mi się to sprawdzić, bo to już koniec pory deszczów.

## MÓJ BOY

Boya sobie nie wybierałem, po prostu mi go przysłano. Jest to chłopak z francuskiego Dahomey, mówi bardzo dobrze po francusku i uważa się za Francuza. Nie patrzy mi w oczy i jest bezwarunkowo za sprytny. Dla utrzymania równowagi międzynarodowej pożyczam sobie od kolegi, który wyjechał na parę tygodni, Thomasa. Ten jest z Liberii, czuje się jednak raczej poddanym brytyjskim. Mówi potwornym *pidginem*, ale jest człowiekiem znającym świat i ludzi. Na wstępie mówi mi, że Polska dobrze się biła i że to nie to samo, co Francuzi. Poza tym daje mi radę, żebym chował pieniądze i zegarek pod poduszka, gdy śpię przy otwartych oknach w moim ulu. Rada okazuje się bardzo cenna. Tej samej nocy kilku nowoprzybyłych zostaje ogołoconych z gotówki i kosztowności przez bonogich, czarnych jak sama noc i bezszesnastych złodziei.

Moje przecucia co do "Francuza" okazują się słuszne. Rano widzę, przez siatkę moskitową nieznaną mi czarną twarz. Ktoś ty pytam? Podaje się za brata Dahomejczyka, nazywa się Boniface. Brat jest rzekomo chory. Mimo, że niezupełnie wiem, jak daleko sięga rodzinne podobieństwo u murzynów, jestem pewien, że łące, ale udaję, że wierzę. Cóż zrobić? Matka mi zawsze mówiła, że wszystkie warszawskie panie są niewolnicami kucharek i "młodszych", a teraz przyszła kolej na mnie. Zostałem niewolnikiem mego boya. Bez niego zginąłbym marnie w tym kraju.

Czynności boya są wielorakie. Rano budzi mnie, stukając w łóżko i podnosi moskitere. Miernie kraje pomarańczę w gwiązde, usuwając pestki /*master* mógłby się udławić/. Kładzie na krzesło koszulę, szorty i stawia wspaniałe wyczyszczone pantofle. Potem przynosi wodę do gołębienia, kładzie na stoliku żyletkę, pendzel i mydło, a w międzyczasie czyści pas. Słuzę w białym uniformie przy śniadaniu. Przynosi mi do biura *topee* i zabiera furazerkę /do godziny 8.30 rano i po godzinie 4-ej wolno chodzić w skromniejszym nakryciu głowy — słońce traci swą zabójczą siłę/. Usługuje mi przy obiedzie. O 4-ej przynosi furazerkę i zabiera *topee*. Gdy wracam do "ula" kraje mi pomarańczę, ananasy lub *paw-paw* /rodzaj naszego melona, tylko że ro-

zu. Murzyni się czają. Nagle na sygnał, którego nie słyszę, trójzęby zaczynają się poruszać z potrójną szybkością. Widzę, jak fala podnosi łódź na wysokość trzech metrów. Są już po drugiej stronie. Trójzęby pracują miarowo w takt smętej pieśni. Nie jestem pewien, czy to rzeczywiście wiek dwudziesty.

—W tym porcie człowiek nie ładuje jak przystało na dżentelmena — mówi stojący przy mnie Anglik.

Zgadzam się z nim w zupełności. Ze stojącego na redzie statku spuszcza na linie krzeselko, w którym siedzi starszy pan w białym *topee*. Krzeselko chwytają kilka par czarnych rąk i ustawia na bujającej się łodzi. Podróż z akompaniamentem smętej pieśni, przebycie ostatniej fali. Widzę mego starszego pana wynoszonego przez czterech murzynów z łodzi. Krótka przeprawa tuż nad wodą i mój dżentelmen ładuje, choć nie jak przystało na dżentelmena, na piasku koło mnie. Murzyni się śmieją i dostają 6 pensów za nieutopienie cennego ładunku.

Jest około 4-ej po południu. W oddali widać kilkadziesiąt białych, kwadratowych żagli. To rybacy wracają z połowu. Wiatr o tej porze dnia zawsze wieje do ładu, co pozwala rybakom zapędzać się na dobre parę mil w morze. Zbliżają się dwie łodzie. Żagiel już przedtem został zwinięty i czterech ludzi załogi zawzięcie wiosłuje. Mała, drażona z jednego pnia łódź skacze na fali i gładko osiada na plaży. Widać teraz, że jest pomalowana na czarno. Ma rzeźbiony dziób.

Półow był dobry. Rozpoznaje ryby raczej przypominając sobie piękne wydawnictwo "Życie zwierząt" — Brehma, niż z własnego doświadczenia. W łodzi skaczą flondry, makrele, śledzie. Ryby podobne do flonder ze szpilką na grzbiecie. Jest barakuta o potężnej głowie i strasznych zębach i... młody rekin. Poza tym setki małych rybek o tęczowych barwach, krewetki i kraby.

Barakuta i rekin przykuwają moją uwagę. Te dwie drapieżne ryby czynią kąpiel na całym zachodnim wybrzeżu mocno ryzykowną. Specjalnie barakuta. Ten potworek z łatwością ucina swemi ostrymi jak brzytwy zębami stopę ludzką. Przytem często można go spotkać na bardzo nawet płytkiej wodzie, podczas gdy rekin nie opuszcza głębin.

Starszy łodzi — murzyn o budowie Ursula — ze szczekami ludożercy, odpedza od łodzi kobiety oczekujące z koszami. Starannie wybiera flondry z jądowitą szpilką i kładzie je na piasku. Potem ostrożnie odrywa szpilki, ścierając ich ostre kolce na kamieniu i wbiła w uprzednio wykopany dołek. Widząc, że obserwuje jego czynności mówi, pokazując ruch ukłucia: "Trzy godziny człowiek pójsz umrzeć."



Panie na plaży

Ładowanie ryb do koszy odbywa się według jakiegoś tajemniczego klucza rodzinnego czy plemiennego, którego nie mogę rozgryść. Jest wiele krzyku. Małe dzieciaki starają się ukraść ryby i dostają klapsy w nagie zadki. Jest chwila, gdy wydaje mi się, że przyjdzie do walki amazońki. Gruba o potwornych piersiach *mummy* trzęsie dużym śledziem nad głową młodej dziewczyny. Kończy się jednak na wymianie słów i grube ramię z pasją wrzuca śledzia do koszyka. Koszyki pełne ryb wędrują na głowy murzynek, które dostojnym krokiem, ruszając biodrami, idą gęsiego po schodach wybitych w skałę i znikają między rudermi murzyńskiej dzielnicy.

Rybolówstwo na zachodnim wybrzeżu, mimo obfitości ryb nie zostało jeszcze zorganizowane na skalę przemysłową. Nadal, jak przed wiekami, jedynym środkiem połowów są drażone z pni drzewa *kanoe*. Brak jest na wybrzeżu urządzeń chłodniczych. Ryba złowiona jest przeznaczona do natychmiastowego spożycia. Czasami jest wędzona na prymitywnym przyrządzie składającym się z drucianej siatki, pod którą murzyni palą węglem drzewnym. Gdy pogoda sprzyja, widać na skrajach asfaltowej drogi suszące się w słońcu ryby. Lepiej przyśpieszyć kroku w tych miejscach, bo zapach jest potworny.

## PLAŻA

Nastłuchawszy się od *coasterów* o rekinach i barakutach cychających na łydki i o prądach — jadę się kąpać. Miejsce należy do tak zwanych bezpiecznych. Dość wąski pas łąd, widny piaszczystej oblanej z trzech stron laguną. Na wzdłwie las palm kokosowych. Są one niewielkie, 5 do 6 metrów. Na zachodnim wybrzeżu te palmy nie dosięgają nigdy wielkości swych

braci z wysp Pacyfiku. Orzechy są duże i trzymają się jak winogrona w miejscu, gdzie z pnia strzelają pierzaste liście.

Czarny lazibny — dozorca plaży strąca kamieniem jeden orzech, oblupuje go zgrabnie "*machetem*" /tak nazywa się uniwersalny taksak-nóż długości około 50 cm/, którym krajowcy posługują się zarówno do ścinania olbrzyma puszczy, jak i koszenia trawy; jest on również używany, obecnie rzadziej, do ścinania głów.

Orzech wygląda teraz jak czara z białego drzewa. Ostatni ruch "*machetu*" górny koniec orzecha odlatuje. Piję słodkawą i zlekką mętną wodę orzecha. Jest dość smaczna, tylko stanowczo za ciepła. Murzyn pokazuje mi dojrzały orzech. Niczym on nie różni się od tych od B-ci Pakulskich, jest tylko różnica w cenie — trzy za pensa.

W gładkiej wodzie laguny brodzą czarne, nagie postacie. Z daleka wyglądają jakby rzuciły lasso na wodę. To półow małych ryb i krabów przy pomocy okrągłej sieci. Żmudność i mały efekt tej metody jest tak samo zadziwiający, jak kunszt posługiwania się nią. Sieć to regularne koło siatki rybackiej o średnicy około dwu metrów i małych oczkach. Do centrum tego koła przywiązany jest długi sznurek. Na obwodzie są zawieszona ciężarki ołowiane w liczbie około 100. Rybak trzyma sieć przewieszoną przez lewą rękę a rzut wykonuje prawą. Sieć wylatuje w powietrze rozwija się, jak spadochron i równiutko opada na wodę. Biada małej rybce, która znalazła się w zasięgu koła. Opadające ciężarki otomują ją. Czarny rybak powolutku ciągnie sznurek do siebie. Sieć wygląda teraz jak spadochron zawieszony do sprawdzenia.

Niestety tym razem sieć jest pusta. Czekam na następny rzut. I tym razem nic i tak przez 20 rzutów. Przyznam się, że mi się to znudziło. Nagi rybak się jednak tym nie przejmuję i próbuje szczęścia nadal. Jego całodzienną cierpliwość nagradza parę kilo ryb, które urozmaica pożywienie w ciągu 2-3 dni.

Próbuje rzucić sieć. Kończy się to śmiechem czarnych. Moja sieć tworzy jakąś nieforemną bryłę i opada z pluskiem. Czarny męczy się dobre pięć minut, żeby ją doprowadzić znowu do porządku. Nie słyszałem o jakimkolwiek białym człowieku, który dokazał sztuki rzucenia tej sieci tak, by się rozwinęła. Trzeba się do tego urodzić wśród tych lagun i palm, a nie w śnieżną noc styczniową w Warszawie.

Kąpie się w wspaniałej, gorącej wodzie. Pływać bardzo trudno i mimo, że jestem stary waterpolista, raczej bawię się w wodzie, nurkując pod grzywami a dając się unosić prądem. Próbuje sztuki jazdy na desce /*surf riding*/. Przekonuję się, że nie jest to łatwe. Nie każda fala niesie i trzeba położyć się we właściwym momencie przed nadlotem grzywy, inaczej razem z deską jest się przydużonym do dna. Wkońcu jednak udaje mi się. Jadę ze sto metrów na grzbiecie fali i wylatuję na piasek z takim impetem, że fikam koźła. Dobry sport.

LEONTYNA GODLEWSKA

HENRYK GIELDZIŃSKI

## "Well Done"

W *Command Post*, wokół mnie dużo ślicznych dziewcząt w mundurach, w polskich mundurach. Piwnica nabrała barwy, uroku. Jakoś jaśnieje. Uwijają się przy dalmierzu i rozliczniku. W miejscach ochryptych kanonierskich okrzyków — polskie amazońki wyśpiewują miękimi głosami!

— "Przelicznik ustalony! Seria!"

Dźwięki telefonów, dzwonek i głosy dziewcząt w mundurach — wszystko to zmodulowane w cudną harmonię. Jest mi dobrze...

Wtem — uderzenie w głowę. Piękny obraz senny znika. Zastaniam się ręką od nowego niewidocznego ciosu.

— "Panie poruczniku, *raidery!*"

Ostry głos dyżurnego telefonisty przywołuje mnie do przytomności.

— "A więc obraz z przed paru sekund, to tylko sen..." — przebiegła żalonna myśl. — "Ale przecież dostałem w głowę?"

Nie — to tylko telefonista zapalił światło w mojej "garsonierze", przyległym do *Command Post* pokoiu, gdzie sypia TCO /oficer dyżurny baterii/.

— "Co? Zielony?" — Lekka emocja po raz trzysta któryś już z kolei.

Przyzwyczajiliśmy się przez półtora roku do nieużywania paci-

sków. Szwabyszcji nie lubią.

— "Pewnie znów jakiś zbląkany nasz" — myślałem niechętnie. — "Ale jednak, a może... może tym razem."

Iskierka nadziei podrywa mnie na równe nogi, jak zwykle. Wzrok pada na tablicę — rzeczywiście, to nie "lipa".

— "Alarm!"

Słychać dzwonek w obozie. Wartownik gwizdże zapamiętane. Biorę słuchawki na uszy. Głos telefonisty z *Operation Room'u* podekscytowany. Coś się święci naprawdę. Zbliżają się do morza. Wskakuję na chwilę do dział.

Obsługi gotowe, przeliczniki też.

— "Przygotować amunicję!"

Ruch. Podniecenie. Bateria przygotowuje się do swej "nocy posługowej" — dotychczas nie strzelała.

Już ich słychać.

Wpadam do "mózgu" baterii — *Command Post*.

Telefon z *Operation*: — "Można strzelać."

Prowadzimy cel. Pierwsza wysokość. Szerok dziwnych, tajemniczych cyfr i uwag. "Szyfry" te musi szepnąć kilkunastu ludzi, by działa się odezwały. Wreszcie:

— "Przelicznik ustalony! Pal!"

Tu stała się rzecz nieoczekiwana. Drzwi w *Command Post* wyskoczyły z zawiasów. Brzęk szyb co

wrażliwszych na tego rodzaju próby.

I tak w kółko, aż do "*All clear*."

W słuchawkach słyszę meldunki o palących się samolotach. Wyniki są, a "ja ich widzieć nie mogę" — westchnąłem żałośnie. Trzeba czekać jutro na raporty, obliczenia, kto, gdzie, kiedy, ile i jak.

Dziwna wojna. Strzela się na "niemo" z piwnicy. Na zimno. Ołowkiem i liniijką mierzy się życie wroga. Nie ma bohaterów, nie ma emocji walki. Są automaty, kierowane chłodną ręką człowieka. Im ręka chłodniejsza, im większa umiejętność i opanowanie mechanizmów, tym większy sukces.

Samoloty, do których strzelaliśmy razem z sąsiadami. Kto był właściwym "królem polowania" trudno dociec. Nawet niemożliwe. Brygadier powiedział "well done." Powinno wystarczyć.

\* \* \*

Wszystko to opowiedział mi pewien artylerzysta po nalocie 25 samolotów niemieckich na jedno z miast Szkocji. 8 z tych maszyn zniszczone.

# Pobojowisko pod El Alamein

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Na wąskiej drodze wodzącej do Waterloo przystajemy pełni zadumy: tędy, zmyliwszy kierunek, przemaszerował korpus Grouchy i dzieje świata na stulecia poszły innym torem. Ani czerwone dachy domków farmerskich dookoła, ani nudne zielone pola zdają się nie o tym nie wiedzieć.

Może pokolenia turystów w tej samej zadumie będą przystawiać w wąskiej "szy od butelki," El-Alamein, gdzie w przesmyku 60-kilometrowym, między morzem a bagnistą nie do przebycia depresją rozegrała się w pierwszych dniach listopada ub. roku bitwa, decydująca o pogromie Rommla i o "końcu początku." Zapewne i tu nie będzie mówić otaczająca pustynia o dramacie, który się rozegrał; będą o nim tylko przypominać cmentarze żołnierskie, jak pod Waterloo przypomina pomnik bitwy.

Ale teraz, kiedy jadę tą pustynią, każdy jej kawałek krzyczy o minionej bitwie. Wąska asfaltowa szosa, którą pomykam na zachód, drzy jak struna, którą jakaś ręka szarpie u nasady. Idzie po niej nieprzerwany tok wozów, cystern, dziwnych warsztatów reparacyjnych, lor unoszących czołgi, wozów-dźwigów, wozów-szufli usuwających piasek, wozów-walców, wozów-lor pod samoloty, przebiegających dziesiątkami par nóg, jak czterdziestonożka — plaga namiotów.

Mądra i przemyślna jest współczesna wojna.

Tam — u nasady tej szosy, pod Benghazi, rozkwitła ten ruch wachlarzem, huczy wystrzałami. Tu — pani Wojna zagospodarowała się obrządkami gospodarskim: wywiozła rannych, uprzęta już sporo trupów i cała jest w trosce o *salvage*, o pozbieranie ogromnej ilości sprzętu i żelastwa.

Po obu bokach wstęgi asfaltowej, wśród kucek suchej roślinności, pokrywającej jak trąd pustynię, stoją bezradnie pojedynczo lub grupami działa 88 m/m, rozbi-

te czołgi, z rzadka wraki samolotów i stopy, stopy naboju: począwszy od naboju najcięższych cekaemów przeciwpancernych, przez śmigie dwudziestki, nizane na automatyczną taśmę, przez pociski 88 m/m — każdy z oddzielną w wykwinnym futerale — do wielkich 110 m/m pocisków armatnich.

Patrząc na te stopy skrzynek, futerałów, pokrowców, pochw i przypominam sobie z uśmiechem sprzedawców po sklepach w Bejrucie, Tel-Awivie i Kairze, którzy wwalają klientom towar nieopakowany, bo tak nakazuje zarządzenia z powodu wojny.

Uprzejmy brygadiera, u którego należy się zameldować, przyjmuje w swej rezydencji wykopanej w pagórku piasku. Po przyjrzeniu się pagórek okazuje się świetnie zamufowanym wozem. Pod okapem okrywającej plachty kamuflażowej rezyduje ordynans z pół tuzinem świecących butów i z rozwieszonych barwnym mundurem brygaderskim.

W wozie otrzymuję krótki wykład przed olbrzymią mapą pokrywającą całą ścianę: tu, ku morzu, pchnięto dywizję pancerną, która przeszła w ciągu nocy siedem półminowych rozczyszczonek przez saperów. Pierwszy to był wypadek, że czołgi nie przygotowały ataku piechocie, tylko odwrotnie — piechota poszła przed czołgami. Nie widząc na północnym odcinku penetracji czołgów, Niemcy nie spodziewali się na nim uderzenia. Z gazet wiadomo, że Rommel zbagałizował cały odcinek nadmorski i skoncentrował się dla przyjęcia ataku w drugim końcu "szyjki od butelki" — przy bagnach. Gdy się zorientował — było za późno.

— Pan kapitan wszystko pokaże — teren, który jeszcze, dosłownie, krwawi.

Pod kierownictwem łaskawie przydzielonego kapitana, wóz daje

murka w pustynię. Jedziemy czymś w rodzaju szerokiego piaszczystego szlaku, którym Napoleon szedł na Moskwę. Szlak ten wybiły w pagórkach pustyni tysiące wozów, które przeszły tędy na zachód.

Wraki rozbitych czołgów poczyna się mnożyć. Niektóre stoją nowiutkie, trafione celnie jednym pociskiem w oko czy serce. Inne — to kupa zadymionego żelaza; to te, w których własna amunicja wybuchła i wypaliła wnętrze.

W pewnym miejscu stoi siedem małych tanków niemieckich, nieomal w wyrównanym szeregu; jakaś straszliwa seria artyleryjska przejechała na nich.

Ze wszystkich oznak sądząc, pole decydującej bitwy tanków się zbliża. Trudno jest zorientować się w tej bitwie. Na północny niedaleko błyszczy morze, ale po za tym — do najdalejzego widokregu nie widać ani wzgórza ani drzewka. Spoglądam raz po raz na busole, aby się zorientować.

Witają nas przede wszystkim trzy rozbite "Shermany" — trzydziestotonowe czołgi amerykańskie będące cudem techniki: zarówno korpus, jak obrotowa wieżyczka zrobione są z jednego kawałka stali, obchodząc się bez szwajców i nitów.

Jeden jest spalony, drugi rozbity, ale trzeci wygląda świetnie. Oglądamy jego przód. Znajdujemy pięć trafień, które nie przenikły przez pancierz, aż wreszcie szósty pocisk trafił w okienko, wpadł do wnętrza i eksplodował. Zaglądam do czołgu i w pustce spiętrzonej siodełek, na których siedziała obsługa nie znajduję nic; zabitych już wyciągnięto i pochowano. Procyk stońca przenika najgłębiej w dół i wyjawia rój siedzących much. Siedzą na zakrzepłej krwi. W rogu wozu nadpalony list — *air-graph*. Adresu przeczytać nie mogę. Jakaś Lily pisze: *Well, pal, I have kept up the good work of writing regularly to your little Mum* /piszę regularnie do twojej mamusi.../.

Sprawcy rozstrzelania Shermanów stoją o kilkadziesiąt kroków. To — działa p-panc, dalej kilka rozbitych czołgów niemieckich i wreszcie trzy niedaleko jedno od drugiego stojące działa 88 m/m.

Walki jak w średniowieczu: łeb w łeb, pierś w pierś...

Owe niemieckie czołgi dostały silnie. Błacha w nich poszarpana pociskami, wstęgi pozrywane. Jeden czołg spalony. Zaglądam do niego i cofam się gwałtownie: plynna, ugotowana masa mięsa ludzkiego na dnie wozu wydziela straszliwy fetor.

Koło wozów — płytko usypany kopczyk grobu, z pod którego widać kolano. Na kopczyku hełm i krzyż z napisem: "Unknown German Soldier."

Oglądam się dookoła: podnoszę gruby, napół spalony tom. Tom nosi tytuł: "*Lachendes Leben ein Buch voll herzhaften Humors*."

Ciągnik holujący działa ustawione na podwoziu czołgowym /trick Rommla i jeden z powodów jego letnich sukcesów/ — jest straszliwie zniszczony. Już był w odwrocie, już odjechał, kiedy straszliwa seria artyleryjska zmieniła ciągnik w kupę żelastwa.

I tak — jedno za drugim, jedno za drugim — przesuwają się przede mną straszliwe panoptikum zniszczenia. Gdzie kres, gdzie granica tego pola śmierci? Przy dziale okopanym, stojącym na krzyżowej lawecie — trup kanoniera. Działo grzmiało z najbliższego dystansu do czołgów "General Grant," które pozostawiły dwa wraki o kilkadziesiąt metrów. Działo było okopane, nie miało ciągnika — należało strzelać do ostatniego. Kanonier leży w masce gazowej.

"Ależ nie" — powiada kapitan angielski — "he is roasted" /on jest upieczony/.

Stopa lewej nogi jest fioletowym pęczkiem przypominającym owoc bakłażanu. Przy kanonierze znajduje książkę: "*Soldaten in Konflikt der Pflichten*" — o Zietenie, Scharnhorscie, Lutzuwie i Yorku.

Od następnego okopanego działa uderza mdły sódkały zapach. Kiedy się zbliżam — we wglębie, w którym wkopano działa widzę obraz godny Goyi: zwęglone trupy zastygłe w jakimś straszliwym, wzajemnym uścisku. Zwęglone kikuty obejmują zwęglone szyje, zwęglone nogi wystrzelają z nad zwęglonych barków.

Zachodzę pod wiatr, aby uwolnić się od trupiej woni; pochylam się — pod nogami mam zwęglony kawałek fotografii. Widać tylko pół świeżej dziewczęcej twarzy na amatorskiej fotografii w jakimś ogródku. Na odwrocie trzy słowa: "A kiedy powrócisz..."

Z dołu armatniego trupie głowy w skurczach rąk i nóg patrzą na fotografię. Chciałbym ją rzucić któremu z nich, ale nie wiem który to...

Zahuczał motor — ciężarówka przywiozła murzynów-grabarzy. Murzyna mają gumowe rękawice, gumowe płaszczki i czarne gumowe maski. Są jak potwory z Tysiąca i Jednej Nocy rozkopujący groby.

I podczas kiedy potworne straszdyła pełnią obowiązki nad potwornymi cuchnącymi resztkami, wrzucając je owinięte w koce w ciężarówkę wytapetowaną podobiznami girlsów — wstaje wiatr i pędzi po polu strzępki air-graphów, listów, bezfrakobliwych pocztówek, fotografii gwiazd filmowych, programów różnych music-hallów, które ci rumiani drgający śmiechem i wesołością chłopcy wozili z sobą.

Szarżeje, gdy wydostajemy się z powrotem na asfaltową szosę na której wita nas tablica: *Gunner, what about your empties? strzelczynie, co słychać z twymi łuskami?*

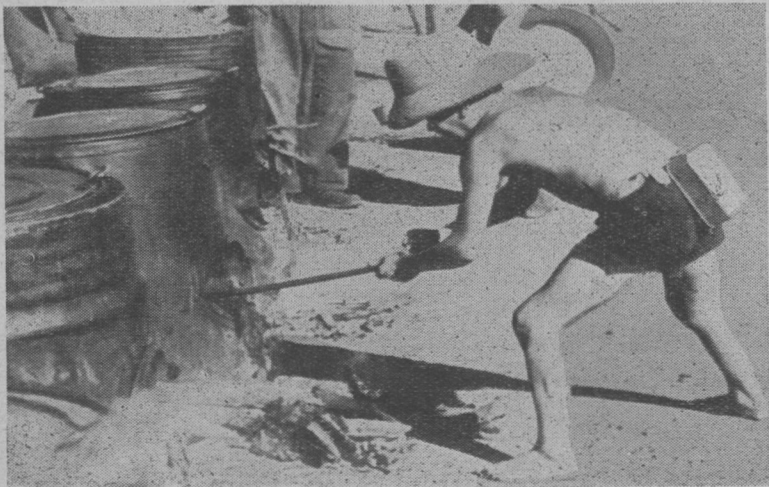
O żelazne prawo życia, organizacja i walki przywołuje nas do porządku jak przywołują rozgrzanego walką czołgistę.

Po szosie, nieubieganie jak dzieje, sunie sznur wozów — na zachód.

JERZY LUZYC

## Gdy najmłodszym przypinają skrzydła

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Kair, w marcu

Droga do obozu nie jest daleka. Przejechać trzeba przez Heliopolis, wspaniałe, nowoczesne przedmieście Kairu, sięgające ostatnimi domami szczytów piasków pustyni i po paru minutach jazdy jesteśmy już na miejscu. Na jednym z lotnisk R.A.F.'u rozsiadła się nowa szkoła dla polskich dzieci: liceum mechaniczno-lotnicze dla Junaków, jedyny chyba dziś tego rodzaju zakład polski na kuli ziemskiej. Stworzony staraniem Armii Polskiej na Wschodzie, przy wydatnym poparciu naszych władz cywilnych, RAF'u oraz brytyjskiego Ministra dla Środkowego Wschodu, wypróbowanego przyjaciela Polski, p. Casey, zakład ten stanowi odpowiedź na niemieckie próby pozabawienia młodzieży polskiej w Kraju wszelkiej wiedzy i nauki. Pozamykali tam niemieccy okupanci wszystkie szkoły polskie, odebrali naszym dzieciom możliwość kształcenia się.

Nic to. Tutaj, na dalekiej obczyźnie, tworzymy dla naszego młodego pokolenia wzorowe szko-

kościę przyszłego potężnego lotnictwa polskiego.

Nie marzyli zapewne nigdy o tym, że tu właśnie, w kraju Faraonów, pod Piramidami, przypinają im będą skrzydła, im, najmłodszym, którzy tyle już przeżyli i przecierpieli. Ale dumni są i radośni, że to tutaj, że właśnie w Egipcie, będą mogli kontynuować rycerską epopeję, którą na afrykańskiej pustyni zapoczątkował Sułkowski i do której nawiązali ostatnio żołnierze w Tobruku. Szczęśliwi są, że będzie im dana możliwość powrotu do Kraju na skrzydłach, które tu będą im przypięte i którymi władać będą całkowicie.

Smutny, pochmurny poranek niedzielnny... Pogoda, tak stała na ogół w tym kraju, zawiodła jakos, niestety. Na obszerym lotnisku, usianym barakami i namiotami, zebrała się spora gromada przedstawicieli władz brytyjskich i polskich. Jest poseł R.P., minister Załubiński wraz ze swymi współpracownikami, stawili się licznie oficerowie obu armii Sprzymierzonych. Wśród obecnych gęsto błękitnią mundury lotnicze.

Dokoła obszernego placu, w zwartych, karnych szeregach, ustawili się wychowankowie szkoły. Jest tu kwiat junactwa. Twarze młode, inteligentne, energiczne. Postawa żołnierska w pełnym tego słowa znaczeniu. Pod ścianą baraku — ołtarz polowy, ubrany w barwy lotnicze brytyjskie i polskie. Po szarym niebie płyną samoloty.

Uroczystość rozpoczyna Msza polowa. Kapelan, Ślązak, w kazaniu swym zwraca uwagę chłopcom, jak bardzo szczęśliwi i dumni winni być, że tutaj, w obcym, dalekim kraju, uczę się będą mogli w polskiej, pięknej szkole. Po skończonej Mszy przemawia do junaków minister Załubiński. Mówi, że uczniowie tej nowej szkoły będą oto znowu, jak we wrześniu 1939

r., słyszeć nad głowami swymi stały szum samolotów. Tym razem jednak, na szczęście, będzie on oznaczał coś innego. Wtedy zwiastował zniszczenie i śmierć, dziś będzie zapowiedzią przyszłych zwycięstw naszych i potęgi polskiej w przestworzach. W ciepłych słowach przedstawiciel Rzeczypospolitej wzywał chłopców, aby wyteżyli wszystkie siły w tej ciężkiej, lecz pięknej pracy, jaka ich czeka.

Wszyscy obecni grupują się następnie dokoła masztu, na którym za chwilę powiać mają polskie barwy narodowe. Na rozkaz, dany przez dowódcę szkoły, przy dźwiękach Mazurka Dąbrowskiego, podnosi się zwolna ku górze biało-czerwona chorągiew. Po hymnie polskim rozbrzmiewa "God save the King." Ta chorągiew będzie odtąd nieodłączną towarzyszką uczniów. Jak we wszystkich obozach i szkołach junackich, będzie się ją co rano podnosić i co wieczór opuszczać z masztu. Będzie ona symbolem, łączącym wychowanków z dalekim Krajem.

Defilada wychowanków szkoły przed jej dowódcą i zaproszonymi gośćmi zakończyła oficjalną część uroczystości. Potem oprowadzono nas po warsztatach i udzielono wyjaśnień na temat zakresu prac szkoły. Dowiedzieliśmy się więc, że wychowanków jest obecnie stu pięciu, wkrótce jednak liczba ich powiększona będzie bardzo znacznie. Program nauk polskiego liceum mechanicznego, który normalnie trwa cztery lata, tutaj musi być i będzie przerobiony w ciągu dwóch lat. Nie łatwe to i wychowankowie pracować będą musieli ciężko, lecz tak być musi. Tak każą konieczności wojenne.

W ciągu pierwszego roku nauki dziewiętnaście godzin tygodniowo poświęconym będzie zajęciom praktycznym w warsztatach mechaniczno-lotniczych. Program nauk obejmuje ponadto m.in.: literaturę i język polski, język angielski, geografę ekonomiczną, hi-

storię, matematykę, fizykę, chemię i gymnastykę, z przedmiotów specjalnych zaś: technologię, maszynoznawstwo ogólne i lotnicze, spawanie metali i t.p. Zespół nauczycielski został dobrany jak najstarszanniej i składa się z sił pierwszorzędnych, angielskich i polskich.

Na uroczystości otwarcia szkoły licznie reprezentowana była prasa francuska, angielska i polska. Nazajutrz szereg dzienników kairskich zamieścił na ten temat wzmianki i artykuły, ilustrowane zdjęciami. "Polska nie zginęła" — pisał w swym artykule wielki kairski dziennik poranny w języku francuskim, "*Le Progrès Egyptien*" — "nie zginęła, albowiem młodzież polska czuwa, by powojnie kraj jej stał się znowu wielkim państwem. Jest w Egipcie tysiąc tych młodych chłopców polskich, dobrze zbudowanych, z czuprynkami na jeża, z uśmiechem na ustach, z wyrazem niezłomnej woli na młodych twarzach... Są zdolni, żywi, odważni, silni. Posiadają zbyt wiele zalet, aby można ich było lekceważyć..." Po opisie uroczystości, autor reportażu kończy w sposób następujący: "Młode ramiona, młode umysły, kierowane przez troskliwych i ojcowskich opiekunów, którzy posiadają zmysł humoru i którzy przywiązali się serdecznie do tych młodych żołnierzy... Młode twarze, okragłe i puciułowate, na których czyta się głęboką nadzieję wolnego życia w Polsce szczęśliwej i dumnej... Młode charaktery, ukształtowane przedwcześnie... Młode dusze zahartowane w twardej szkole wojny, głodu i cierpienia... Oto Polska jutra."

Nasi junacy będą dobrymi ambasadorami polskości na Środkowym Wschodzie. Możemy być o to spokojni.

ROMAN FAJANS

## Z życia obozów

## Polski urlop Wacka z Kanady

B.D.I.C.



— "A może kolega pozwoli jeszcze jedno ciastko? — usłyszałem niespodziewane pytanie, jednocześnie pełny spodeczek "cake-sów" zjawił się na moim stoliku. Przekonany, że to któryś z przyjaciół, dotychczas niemy świadek mojego apetytu, nie wytrzymał i zaraz się zaczęły zwyczajne dogaduszki i natrząsania — z niechęcią podniosłem głowę. Przede mną stał młodzieńcy żołnierz w charakterystycznym zielonkawym mundurze; na ramionach nosił naszywki z białym napisem: CANADA. Ale miał jeszcze płowe włosy i niebieskie, roześmiane, typowo mazurskie oczy, po których na końcu światła poznałbym rodaka. Podaliśmy sobie ręce.

— "Nazywam się Gołąb, Wacław Gołąb" — przedstawił się i usiadł przy mnie. Od stolika w drugim rogu kantyny zbliżyło się równocześnie dwóch koleżków z miejscowego "Oeru" i jeszcze jeden szczupły, czarniawy żołnierz kanadyjski.

— "To także Polak — powiedział Wacek — tylko on jest taki na 50% i nie umie jeszcze po naszemu, czego się bardzo wstydzi. No, come on Franek!"

Z kolei więc poznałem i Franka. Nie polskie miał nazwisko: Lamourie. Ojciec jego był Francuzem a matka Polką. W towarzystwie nas czterech czuł się rzeczywiście skrupowany, wobec czego zaproponowałem, aby mimo mojej

i "oerowców" słabej angielszczyzny przecieć — ze względu na Franka — próbować rozmawiać w tym języku.

— "Nigdy na świecie — zaprotestował jeden z kawalerzystów — niech słucha i niech się uczy." Wacek bez wahania poparł tę decyzję, a Franek, który widocznie trochę rozumiał, o czym mówiono, uśmiechnął się tylko i z wysiłkiem wyszeptał:

— "Ja bardzo chciałem."

Zaczęła się rozmowa. Na wstępie zapytałem Wacka skąd pochodzi i czemu zawdzięcza to, że tak dobrze mówi po polsku. Opowiedział chętnie.

— "Urodziłem się w Kanadzie w okręgu Ontario. Rodzice zapisali mnie do polskiej szkółki, ale poza tym wszędzie dookoła słyszałem tylko język angielski i tak mi się to jakoś zaczęło mieszać... Wiem mamusia powiada do ojca, że nasz chłopak /to niby ja/ musi nauczyć się polskiego języka, jak się patrzy, bo inaczej przecieć nie może być i że powinniśmy zobaczyć Polskę. Koniec końców urządzili, żeby mnie wysłać do matczynej siostry, która mieszała w okolicy Lublina w wsł Wilkołaz. Pojechałem tedy do Polski. Ciotka zapisała mnie do polskiej szkoły, chociaż już trochę starszy byłam od kolegów i bardzo wyrośnięty. W trzech latach ukończyłem naukę, przeczytałem sporo książek i zwiedziłem kawał kraju; byłem w Lublinie i Warszawie.

Kiedy później, już w Kanadzie, słyszałem o bombardowaniu przez Niemców Lublina zdawało mi się, że to mój własny dom został zniszczony. Od ciotki wiadomości nie było także od początku wojny, nie wiem czy ocalał Wilkołaz, bo choć to była tylko mała wioska, to przecieć bardzo ładna i taka bardzo... — Tu Wacek szukał chwilę określenia właściwego, a potem powiedział: — "Taka bardzo nasza; tutaj nigdzie podobnej nie widziałem. Kiedy wybuchła wojna, powiedziałem sobie, że trzeba, abym i ja poszedł, jak tyłu chłopaków z naszej okolicy, bić się za ten mój dom w Kanadzie, koło Ontario i za tę chatę wiejską w Wilkołazie, w której urodziła się i wychowała moja matka. Rodzice nie bronili, ale były inne kłopoty, bo prawdę mówiąc to jeszcze byłam..." — Tu Wacek urwał i zamienił się...

— "Za młody, młeczak frajerski" — dopomógł koleżka z "Oeru" widocznie znający już dokładnie dzieje Wackowego żywota.

— "Tak, właśnie na to wychodziło — przyznał Wacek. — Ale przeczekałem do nowego roku, żeby być trochę starszy i zgłosiłem się na ochotnika. Przyjęto mnie do brygady pancernej, już rok z górą jestem we Wielkiej Brytanii i czekam tak, jak i wy czekacie. A teraz właśnie obaj z Frankiem kończymy urlop — tu wskazał na ulanów — u nich..."

— "Jakto urlop?" — zapytałem.

— "E, to cała historia — podjął Wacek opowiadanie. — Było tak. Wziąłem urlop wraz z Frankiem /bo my się zawsze trzymamy razem/ i pojechaliliśmy do Edynburga. No cóż? Miasto piękne i duże, ale jakos nam nie przypadło do serca, więc pod wieczór zaraz pierwszego dnia powiadaliśmy do Franka: "Jedziemy dalej." Tylko na pożegnanie — tu znowu Wacek się zamienił — popiliśmy niezgorzej, nawet nie bardzo zważyłem w jakim kierunku jedziemy. Aż na którejś stacji wsiadli oni..."

W tym miejscu jeden z ulanów uznał, że należy Wacka wyręczyć w opowiadaniu:

— "Wracaliśmy właśnie z kolegą z przepustki. Wlazimy do przedziału, patrzmy, a tu dwóch Kanadyjczyków trochę "zawianych." Zaczynamy rozmowę, ale jemu się język trochę płące, więc zwracamy się po angielsku do Wacka, a ten do nas po polsku! Już po znajomości go pytam, dokąd jedzie, a ten mi na to, że prawdę mówiąc nie wie, ale ma urlop. Naradziłem się z moim kompanem i tłumaczę Wackowi na rozum: "Co się będziesz sieroto poniewierał? Jeszcze cię "czerwone czapki" przyzwają, żeś trochę wiany i możesz pójść do paki. Lepiej jedź z nami do naszego szwadronu. Miejsce do spania się znajdzie: po wartownikach albo markierantach z izby chorych zawsze któraś przyca jest wolna." No i pojechaliliśmy. Pan rotmistrz, któremu zgłosiłem rodaków, pochwalił mnie, że dobrze zrobiłem, a pan szef zaraz przykazał, że cały szwadron ma ich uważać za swoich gości. No i byli razem z nami przez cały tydzień i nie można powiedzieć: swoje chłopaki są, wszystkim przypadli do serca."

Jak mi później dopowiedział Wacek zajęcie się nimi było naprawdę bardzo przyjazne i serdeczne, a polski urlop Wacka i Franka, jakkolwiek nie przygotowany żadnym zarządzeniem, lecz samorzutnie zainicjowany przez dwóch ulanów — udał się wspaniale.

Od czasu tego spotkania sporo się zmieniło na świecie. Jest obecnie znacznie więcej sposobności, aby urządzać takie spotkania z rodakami, służącymi w armiach Zjednoczonych Narodów, zwłaszcza od chwili przybycia na tę wyspę żołnierzy Armii Stanów Zjednoczonych, wśród których procent Polaków z pochodzenia jest wcale wysoki. Niewątpliwie w każdej polskiej jednostce znajduje się oficer, który jak ten pan rotmistrz z "Oeru" taką inicjatywę pochwali i pan szef, który

w krótkiej drodze zamianuje rodaka z Kanady czy z U.S.A. gościem całego oddziału. I tylu chętnych, gościnnych żołnierzy, gotowych do braterskiego przyjęcia swojaków, walczących pod innym sztandarem o tę samą Sprawę, ilu ich liczy dany szwadron czy bateria. Niechaj ludzie, z którymi jesteśmy jednej krwi poznają nas bliżej, niech w rozmowach z nami zaspokoją swój głód wiadomości o Ojczyźnie ich dziadów i ojców, niech się "nadyszą" polszczyzną.

Wacka spotkałem przelotnie jeszcze dwa razy. Przy pierwszym spotkaniu powiedział, że do ich świetlicy w "campie" przychodzą już polskie gazety, a wśród nich "Polska Walcząca," że jest ich Polaków z pochodzenia trzydziestu kilku takich, którzy czytają te pisma, a tym, którzy słabo rozumieją po polsku on i kilku innych kolegów tłumacząc niektóre artykuły lub ważniejsze miejsca.

Drugie spotkanie owiane było żalobą: dowiedziałem się, że Franek zginął w katastrofie samochodowej, Wacek był ogromnie przygnębiony śmiercią przyjaciela.

Od tej pory straciłem kontakt z jasnowłosym Polakiem z okolicy Ontario i nie wiem, co się z nim dzieje obecnie. Może był pod Dieppe? Może walczy teraz na innym dalekim froncie? Nie wiem, czy doczekał się już wiadomości od ciotki z Polski i czy wioska, w której spędził kiedyś trzy niezapomniane lata swojego dzieciństwa, nie została wysiedlona przez niemieckich barbarzyńców, których terror właśnie w tamtych stronach zależe ze szczególną zaciętością.

Nie wiem, czy się jeszcze kiedyś spotkamy. Ale wiem napewno, że dzięki takim żołnierzom jak Wacek, którzy umieją w swoim sercu pogodzić oddanie nowej ojczyźnie z miłością do kraju, z którego wyszli ich rodzice, szczęście pokoju i wolności zawita zarówno nad Ontario, jak i do "bardzo naszego" Wilkołazu.

LUDWIK BOJČUK

## Ochotnicy z Ameryki kończą loty bojowe

Ostatnia tura ochotników ze Stanów Zjednoczonych po ukończeniu szkolenia w Kanadzie przybyła niedawno na Wyspy Brytyjskie, by tu otrzymać swoje przydziały i rozpocząć loty bojowe. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tych dniach właśnie pierwsza tura ochotników z Ameryki odchodzi na odpoczynek po ukończeniu 30 lotów bojowych.

30 lotów bojowych czyni z lotnika weterana. Sierżant Tadeusz Diakow Stawasz /ostatnie nazwisko panięskie matki, pod którym figuruje w personalu polskiego lotnictwa/, tylny strzelec bombowy, ma je za sobą. Chociaż nie jeden raz był w tarapatach, to jednak odbył swoje loty bez jednego zardrażenia.

Szybko nawiązując z nim kontakt, bo poza czysto dziennikarską ciekawością wchodzi w grę moment osobisty — byliśmy przecieć razem w Kanadzie i obydważ zaciągaliśmy się pod znaki polskie ze Stanów Zjednoczonych. Z początku rozmawialiśmy po angielsku, bo Tadeusz jeszcze słabo włada językiem polskim.

Kiedy kolega przywdział mundur lotniczy?

— W sierpniu 1941 roku. Jako mechanik dźwigowy pracowałem w swym rodzinnym mieście w Chicago i nawet dobrze zarabiałem, ale jakoś nie mogłem usiedzieć w cywilu, kiedy inni się biją. Mój kraj nie myślał jeszcze wtedy poważnie o wojnie. Natomiast gazety do pisali o dzielnym lotnictwie polskim. Odezwiała się we mnie krew polska — zaciągnąłem się więc w szeregi polskich sił powietrznych. Zresztą w Kanadzie nie siedziałem zbyt długo. Rwałem się do akcji, chciałem być bliżej teatru wojny i dlatego już pierwszym transportem wyjechałem do Wielkiej Brytanii.

— A jak tam było w Kanadzie?

— Nie dano nam tam próżnować. Zaprawa fizyczna, podstawowe wiadomości z zakresu lotnictwa i nauka języka polskiego. Polskie-

go nie znałem prawie wcale. W Owen Sound nauczyłem się dużo. Teraz już wszystko rozumiem, ale mówić jest mi jeszcze trudno.

— Miał kolega jakieś przygody w obozie?

— Tak. I to jeszcze jaką przygodę. Na krótko przed wyjazdem za morze otrzymałem urlop. Wracając do obozu spóźniłem się na pociąg w Windsorze. Musiałem gonić taksówką. Zapłaciłem 15 dolarów. Kieszonka świeciła pustką, mimo to byłem zadowolony, bo stałem się na czas. Na statku miałem inną przygodę — aż wstyd się do niej przyznawać. Im dalej od brzegów amerykańskich, tym więcej tęskniłem za domem. Napisałem więc do matki długi list ze szczegółowym opisem okrętu i jego uzbrojenia. Nazajutrz dowódca transportu zawałował mnie do siebie i pokazał list. Z długiej epistoly pozostało tylko kilka słów: "Hallo Mam... I'm fine... Good-bye..." Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Od tego czasu jestem nadzwyczaj ostrożny w pisananiu listów.

— Jakie wrażenie wywarła na kolegę Anglia?

— Gdy zawiniliśmy do portu, po raz pierwszy zobaczyliśmy zombombardowane miasto. Coś ścisnęło za serce. Tu po raz pierwszy zetknęliśmy się z wojną i tu spotęgowała się nasza żądza odwetu.

Po załatwieniu formalności wyjechaliliśmy na szkolenie. Gorący był to okres: nauka, nauka i jeszcze raz nauka. Muszę przyznać, że instruktorzy polscy byli bardzo uprzejmi i naderwyczej cierpliwi. Koleżdy Polacy pomagali nam w języku polskim, my znowu im w angielskim i dzięki tej współpracy zdaliśmy egzaminy pomyślnie, chociaż każdemu zdawało się, że obleje. Nie potrzebuje chyba dodawać, jak dumny byłem z otrzymanych skrzydeł i promocji do stopnia sierżanta.

— Jak przyjęliście wiadomość o przystąpieniu Ameryki do wojny?

— Pierwszą reakcją była chęć natychmiastowego przeniesienia się do lotnictwa amerykańskiego, by pomóc zdrazięcki napad na Pearl Harbour. Po namyśle jednak postanowiłem pozostać na miejscu. Nie wypadło uciekać, nie dokończywszy kursu. Zresztą wszyscy, bez względu na to na jakich frontach, walczyliśmy przecieć o tę samą sprawę i z tym samym wrogiem.

Zostałem więc. Przydzielono mnie do bombardera i rozpoczęliśmy loty niezbędne dla zgrania załogi. Nasza załoga — to jedna szczęśliwa rodzina. Zżyliśmy się szybko, bo koleżdy byli przemyłi. Mój pilot jest młodym chłopcem — prawie dziecko, ale zna swój zawód pierwszorzędnie. Obserwator, to najlepszy oficer, jakiego spotkałem w czasie meej długiej służby. Również radio-operator i przedni strzelec — to doskonali koleżdy.

— A jak się podobał pierwszy lot?

— Nie bardzo. Dostałem morskiej choroby. Była to pierwsza i chyba już ostatnia. Szybko przyzwyczaiłem się do wstrząsów powietrznych. Przy jednym z takich wstrząsów tylko krok dzielił mnie od śmierci. Było to jeszcze w czasie lotów szkolnych. Silniki nawałaly i trzeba było zdecydować się na przymusowe lądowanie. Byliśmy w chmurach, a na dole mgła i... górzysty teren. Wszyscy zdawali sobie sprawę z groźną niebezpieczeństwa. Pilot był jednak przytomny i nawet próbował żartować. Dał nura poprzez chmury i wylądował... między dwiema górami. Kilkanaście metrów w prawo lub w lewo, a napewno byłbyśmy na łonie Abrahama. Zrobiło mi się zimno i ostre ciarki przeszły po skórze. Mieliśmy jednak szczęście.

— A czy szczęście to dopisywało nam również w czasie wypraw bombowych?

— Zawsze było z nami. Robiliśmy wyprawy na północno-zachodnie Niemcy: Kilonia, Brema, Stut-

gart, Saarbrücken i zagłębie Ruhry; trzy dłuższe wycieczki — jedna na Kolonię /brałem udział w wielkim nalocie w końcu maja ubiegłego roku/ i dwie na Turyn. Zawsze osiągnęliśmy swoje cele i po wykonaniu zadania wracali do bazy bez większych kłopotów. Raz tylko musieliśmy zboczyć z drogi.

Lecieliśmy z ładunkiem bomb nad Bremę. W drodze maszyna zaczęła się szybko rozgrzewać, widocznie chłodniki nie działały. Temperatura stale się podnosiła, groziło zapalenie się samolotu. Otrzymałem rozkaz przygotować się do skoku. Szkoda było bomb. Postanowiliśmy zrzuć je wcześniej. Po chwili wypatrywania zauważyłem w dole światło. Podciągaliśmy bliżej i wyrzucili bomby. Na skutek zmiany wysokości temperatura silników obniżyła się i jakoś szczęśliwie doścignęliśmy do bazy. Za trzy dni dowiedzieliśmy się, że bomby nasze wylądowały na... niemieckim lotnisku. I tym razem mieliśmy szczęście.

— A nie spotkaliście się z niemieckimi myśliwcami?

— Raz jeden tylko. "Messerschmidt 110" przyłapał nas w drodze i dalejże tańczyć dookoła nas. Próbowaliśmy atakować to z lewej, to podchodził z dołu, to znowu chciał nas ukąsić z góry, ale nasze karabiny maszynowe zmuszały go do trzymania się w odpowiedzialnym dystansie. Po dwudziestu minutach zrezygnował z walki.

— Z opowiadania widzę, że kolega się naprawdę w czepku urodził. Szczęściarż nielada. Nie było jakichś specjalnie mocnych wrażeń?

— Owszem. Jedno, którego nigdy nie zapomnę. Minowaliśmy wody nieprzyjacielskie. No i złapały nas reflektory. Artyleria prała ile wiało. Pilot dał nura do wysokości zaledwie 50 stóp. Przelatywałem nad stanowiskami. Widziałem dokładnie obsługę dział. Chciałem otworzyć ogień. Zabroniono. Cel jak na dłoni, a tu strzelać nie wolno. Gorąco wtedy było.

Po powrocie do bazy naliczyliśmy 50 dziur w masynie, większość z nich uplasowała się w odległości od 6 do 8 cali od mojej wieżyczki. Dowódca wyjaśnił mi, że gdybym otworzył wówczas ogień, to napewno nie powróciłibyśmy z tej wyprawy.

Za to innym razem użyłem sobie. Również kładliśmy miny i znowu złapały nas reflektory i trzymały jak na uwieży: jeden za ogon, drugi za środek a trzeci za front maszynny. Lecieliśmy stosunkowo nisko, więc zrobiłem użytek z karabinów maszynowych. Blask był oślepiający, a jednak udało mi się zgasić dwa reflektory. To było by wszystko.

— Jak to wszystko? A ta baretka Krzyża Walecznych?

— Hm... Myślę, że to nagroda za wykonanie 30 lotów bojowych i zchęta do dalszych wypraw bombowych nad Niemcy. Zrobiłem swoją robotę, ale nie jestem żadnym bohaterem. Bohaterami są ci, którzy pozostali w Polsce i tam prowadzą nieugiętą walkę z wrogiem oraz ci, którzy cierpią w obozach koncentracyjnych.

— Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Co kolega zamierza robić po wojnie? Czy może ma już jakieś konkretne plany?

— Tak, mam. I to dobry plan. Jestem mechanikiem dźwigowym, znam się na nitowaniu i spajaniu. Mogę się wam przydać w przemysłowej stalowym. Wy tak samo, jak my Amerykanie wierzyćcie w demokrację, w wolność słowa i myśli. Sądzę, że zaklimatyzuję się między wami. Polska będzie nas potrzebowała po wojnie tak samo jak teraz. Tak jak pomagam dziś wywalczyć jej wolność, tak będę pomagał, by ją odbudować — także jeszcze większą i silniejszą. Takie są moje plany, takie są życzenia mojej matki.

— A zatem powodzenia i do zobaczenia w Polsce.

JÓZEF KARPINSKI

### Pomoc dla Polaków w Rosji : £8,286

Dear Sir,  
I enclose herewith a cheque for £2.26 towards your fund for Aid to Poles in Russia. This sum represents the proceeds of a raffle carried out by persons interested in Poland, who prefer to remain anonymous.  
Sincerely yours,  
Friends of Poland

Redaktor "Polski Walczącej".  
W załączeniu przesyłam "British Money Order" Nr. ZV 23065 na łączną sumę £4.16 /cztery funty, jeden szyling, sześć pensów/  
Kwota ta złożona dobrowolnie przez pacjentów w Szpitalu Woj. Na. 2 na ręce Oficera Oświatowego w związku z "Koncertem życzeń z płyt" na terenie tuż Szpitala. Proszę o przekazanie jej stosownie do życzenia ofiarodawców:  
1. na pomoc Polakom w Rosji — "Warszawiak" £0.10.0  
2. na pomoc Polakom w Rosji — Siostra J.K. £0.5.0  
3. wygrany jakąd przez Podchorążego od Porucznika z Odd. Chir., na Pom. Polakom w Rosji £0.4.0  
4. na Jeńców polskich w Niemczech — C. £0.2.6  
5. na paczki dla Polskich Jeńców Wojennych w Niemczech — Sala Nr. 85 i 87 £3.0.0

razem £4.1.6  
Oficer Ośw. Szpitala Woj. Nr. 2 /ppor. K.S./

Szanowny Panie Redaktorze,  
Mr. Marian Błaszczynski, a Polish pianist, has recently given a piano recital at the S. Sanatorium. The recital was attended by the patients and their friends. I enclose herewith a Money Order for £7 sh.9, being the amount collected from the audience in aid of the Relief Fund for Polish Deportees in Russia.

Redakcja "Polski Walczącej".  
W załączeniu przesyłam M.O. na

**NA INTERNOWANYCH**  
1. Kompania Zoopatrywania na internowanych £7.17.0.

kwoię £9.0.1. Kwota powyższa została złożona drogą składek przez podoficerów i szeregowców... go Dyonu... Pułku Artylerii Mot. w miesiącu marcu br. — z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.  
Dowódca Dywizjonu mjr. W.

Do Redaktora "Polska Walcząca",  
Panie Redaktorze, proszę podziękować P. Zygmuntowi Nagórskiemu za tak piękny artykuł z dnia 27.3.43 r., który tak pięknie ujmie naszą sprawę przyszłości narodowej. Oby Bóg dał by tak wszyscy myśleli.  
Za ten artykuł przesyłam 5 szylingów dla Polskich dzieci.  
Z wysokim szacunkiem  
Anonimowo

Redaktor "Polski Walczącej".  
W załączeniu przesyłam "British

Money Order" Nr. ZV 22845 na łączną sumę £4.2.0 /funtów cztery, sh. dwa/.

Kwota ta złożona dobrowolnie przez pacjentów w Szpitalu Woj. Nr. 2 na ręce Oficera Oświatowego, w związku z bezpłatnymi audycjami radiowymi pod tytułem "koncert życzeń z płyt" wprowadzonymi obecnie na terenie tuż Szpitala, i proszę o przekazanie stosownie do życzenia ofiarodawców:

|   |         |
|---|---------|
| 1. na Jeńców Polskich w Niemczech — Sala Nr. 81 | £1.0.0  |
| 2. na Jeńców Polskich w Niemczech — Sala Nr. 84 | £2.0.0  |
| 3. na Jeńców Polskich w Niemczech               | £0.10.0 |
| 4. na pomoc Polakom w Rosji                     | £0.2.0  |
| 5. na P.C.K. Odz. Wewn.                         | £0.10.0 |

Razem £4.2.0  
Oficer Oświatowy Szpiti. Woj. Nr. 2 /ppor. K.S./

Marynarze z O.R.P. "Orkan" przesyłają w załączeniu Postal Order na £1.5.0 na pomoc Polakom w Rosji.  
Z poważaniem  
Deptuła

Szanowny Panie Redaktorze,  
Uprzejmie dziękuję za ogłoszenie o poszukiwaniu mego męża, które ukazało się dnia 20 marca 43 r.  
Zamiast opłaty za ogłoszenie proszę przyjąć na pomoc Polakom w Rosji 3 szylingi i na pomoc jeńcom w niewoli niemieckiej 2 szylingi.  
Stanisława Prochnerowa

Łączną sumę zbiórek w dzisiejszym numerze £21.15.7½ /słownie dwadzieścia jeden funtów, piętnaście szylingów, siedem i pół pensa/- przekazał mi Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.  
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za

pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,286.14.4½ /słownie osiem tysięcy dwieście osiemdziesiąt sześć funtów, czternaście szylingów, cztery i pół pенса/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwienców.

**NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZACH**  
Pacjenci Szpitala Wojsk Nr. 2. sala nr. 85. i 87. na paczki na jeńców polskich w Niemczech £3.0.0.  
C. — sh.2.6

Na pomoc jeńcom Polskim w niewoli niemieckiej ofiaruję 2 szylingi.  
Stanisława Prochnerowa

Za moim pośrednictwem wpłynęło 10 sz. na pomoc dla jeńców wojennych Redakcji "Polski Walczącej" dłużnik ś.p. kpr. Nawrockiego Bogusława.  
Oficer Oświatowy S.P.P.

W załączeniu przesyłam money order na kwotę £6 /sześć/, którą Komitet Szkocko-Polskiego Towarzystwa, Pododdział w Bridge of Allan przekazuje na pomoc dla jeńców polskich w Niemczech. Kwota powyższa została uzyskana jako dochód z whist drive'u, urządzonego w ramach stałych zebrań Szkocko-Polskiego Towarzystwa.  
Oficer Oświatowy C.P.

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £15.14.3 jako czysty dochód z zabawy urządzonej przez żołnierzy 1. Kompanii Zoopatrywania... Brygady Strzelców z okazji pożegnania miejscowego społeczeństwa w poprzednim miejscu postoju.  
Z kwoty tej proszę przeznaczyć na:

|                                     |         |
|-------------------------------------|---------|
| 1. Jeńców Polaków w Niemczech       | £7.17.3 |
| 2. Internowanych Żołnierzy Polskich | £7.17.0 |

razem £15.14.3  
Dowódca Kompanii

### Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!  
Jednocześnie z niniejszym wystawem koleją paczkę zawierającą 78 książek polskich i broszur, stanowiących biblioteczkę 1. Kompanii Oficerskiej, Baonu Szkolnego. Biblioteczka ta zgodnie z uchwałą oficcerską została zoafiarowana, dla Polaków na Bliskim Wschodzie.  
Stanisław Kempki

W załączeniu 44 książki polskie, 22 broszury polskie i 12 broszur angielskich.

Polska Szkoła Piltazu Początkowego dla Żołnierzy Polskich na Bliskim Wschodzie ofiaruje 78 /siedemdziesiąt osiem książek/.

Szanowny Panie Redaktorze,  
Z polecenia panów: kpr. Dł. kpr. Mik. i kpr. Krz. przesyłam trzy książki, które za pośrednictwem Pa-

na pragnę ofiarować żołnierzom Polakim na Wschodzie.  
Z poważaniem  
kpr. K. /w z. świetlicowy/  
za: Stefan Gazeł: "Z morza i portów" — Arkady Fiedler: "Dywizjon 303" — Maria Kuncewiczowa: "Klucze."

Za łaskawym pośrednictwem Pa-nów przesyłam kilka książek dla żołnierzy Polskich na Wschodzie:  
Kampania wrześnieńska — M. Norwid-Neugebauer. Złota chorągiew — E. Ligocki. Luna nad Warszawą — St. Ordon. Wilczur Prohiby — M. J. M. Rywardowie. Zbiór nowel. Childhood, Boyhood and Youth — Leo Tolstoy. The Crime Conductor — P. MacDonald. The Third Owl — R. J. Casey. Below the Belt — D. Hume. Bomber Command.  
Z poważaniem  
St. Guśc

P.T. Redakcja "Polski Walczącej."  
Na apel "Polski Walczącej" przesyłam kilka książek dla Polaków na Wschodzie, zebranych wśród Oficerów Wojsk. Inst. Geogr.

Załączono:  
Rachel Field: All this, and Heaven too. B. Shaw: Pygmalion /2 egz./ . Eckersley: Brighter English. Dziennik oficera sztabu. Walki w obronie granic /3 egz./ . St. Ordon: Luna nad Warszawą. Wiersze o Warszawie. Notes on Reading. Kolędy. Common Mistakes in English. Prezydent Roosevelt przemawia. Poznanski: Federacja... ale jaka? T. Benni: Ortofonia angielska. A. Mickiewicz: Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego. Z. Grabowski: Anglia — wyspa nieznaną. Bellona.

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 943 książki.

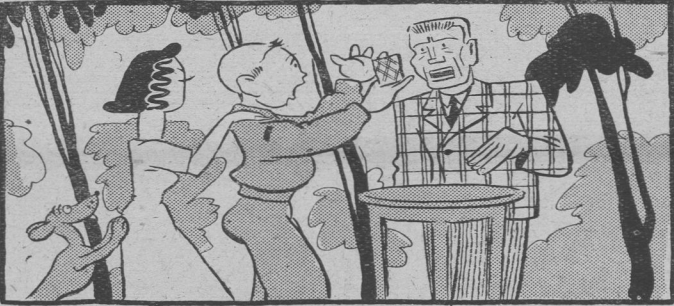
Tekst: RYSZARD POBÓG

### PRYZGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Już nazajutrz Walenty Był u Lii na party  
Z Frankensteinem w ogrodzie Grał bez przerwy w trzy karty.



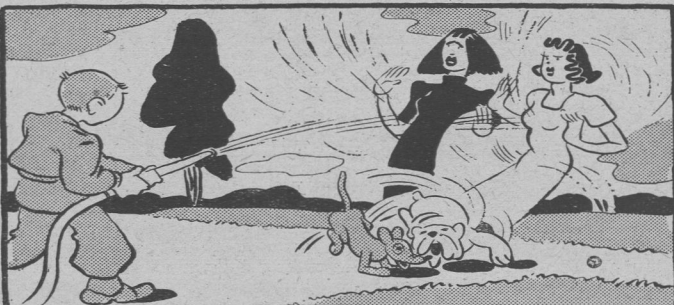
Przy Walusiu wciąż stała Uśmiechając się Lia,  
A u nóg jej wesoło Pies ogonkiem wywijiał.



Na nieszczęście nadeszła Diana Valdi zlowroga — Przyciągnęła ze sobą Opasłego buldoga.



Psy się zaraz pogryzły, Zamiast grzecznie figlować, No a Diana i Lia Chciały głośno spazmować.



Pompka hydrant pochwycił, Puścił wody fontannę — I niechęć wykąpał Wściekłą Lię i D.annę.



A ponieważ Frankenstein Robił w kartach figielki — Na odchodem Walenty Dał mu wycisk niewielki.

**LONDON FLATS**  
37, Dorset Str. /przy Baker Str./, W.1  
ofiarowuje:  
**UMEBLOWANE ORAZ NIUEMBLOWANE MIESZKANIA.**

**SPIS RZECZY:**  
Stanisław Szurlej: Churchill mówi. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Jim Poker: Od wrót Tamerlana do Piccadilly /V. Ziemia Święta/. — Wiesław Waligórski: Polski statek ratuje 1022 ludzi. — Stefan Żurawski: Rozbudzony olbrzym. — Henryk Giedziński: W Afryce Zachodniej /III./. — Leontyna Godlewska: "Well Done." — Jerzy Luźny: Pobjawisko pod El Alamein /Korespondencja własna/. — Roman Fajans: Gdy najmłodszym przypinają skrzydła /Korespondencja własna/. — Z życia obozów: Ludwik Bojczuk: Polski urlop Wacka z Kanady. — Józef Karpinski: Ochotnicy z Ameryki kończą loty bojowe. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Ryszard Pobóg: Przygody Walentego Pompki /rysunki Mariana Walentynowicza/. — Fotografie.

**NAJLEPSZY SZKOCKI SAMODZIAŁ**  
oraz wszelkie wyroby z wełny:  
GREENSMITH DOWNES  
Edinburgh

Damska konfekcja: 57, George Str. /naprzeciw Music Hall/  
Męska konfekcja: 124, George Str. /West End/  
Filia: 1, Beel Str., St. Andrews

**KTOKOLWIEK** z zainteresowanych Polaków życzyliby sobie **NOWY TESTAMENT** lub **EWANGELIE SW. JANA** w języku **POLSKIM** proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

Registry biurowe. Kałamarze. Powielacze "Plex." Papier do powielania. Notatniki. Papier do nut. Koperty. Przybory biurowe.  
**MACFARLANE & DICKSON**,  
25, Castle Street, Edinburgh.

**LITESOME**  
PASY PODTRZYMUJĄCE zmniejszają wysiłek fizyczny  
Przynoszą mężczyznom bez względu na wiek dużą ulgę. Wygodne w noszeniu. Model Mayfair 15/2. De Luxe 6/10. Poradź się krawca, aptekarza, w sklepie sportowym, lub też przesyłaj przekaz poczt. z podaniem miary w pasie do **FRED HURTLEY, LTD.**,  
Victoria Park Mills, Keighley.

**PROSIMY ODWIEDZIĆ** najpiękniejszy w Edynburgu nowoczesny zakład fryzjerski  
**MAISON TENSFELDT**  
/The Ivory House/  
79/81, Shandwick Place  
100 m. za West End  
Wielki wybór drobnych upominków w artystycznym wykonaniu Galanteria. Dział kosmetyczny.

**ZAPRASZAMY ŻOŁNIERZY POLSKICH** do odwiedzania naszego sklepu.  
ofiarujemy:  
Wyroby skórzane i parczane. Olstry — Pasy wojskowe i t.p.  
Noże — Trzcinki — Lornetki i t.p.  
**COGWELL & HARRISON**,  
Rusznikarze, 168, Piccadilly, London, W.1.

Polski Czerwony Krzyż komunikuje, że z dnia 1-go kwietnia r.b. wznawia przyjmowanie pieniędzy na pomoc indywidualną dla rodzin. Wojskowi w służbie czynnej na mocy zarządzenia Pana Ministra Obrony Narodowej L.dz.666/BOp/Og.43 z dn. 1 marca 1943 r. mają wpłacać pieniądze na pomoc indywidualną tylko za pośrednictwem dowódców swoich oddziałów. W związku z powyższym zarządzeniem szczegółowe instrukcje podaje jednocześnie Ministerstwo Obrony Narodowej oddziałom wojskowym.

**ESPLANADE HOTEL**  
2, WARRINGTON CRESCENT,  
London, W.9. Tel.: GUN 1052.  
We wszystkich pokojach bieżąca ciepła i zimna woda oraz telefon. Centralne ogrzewanie. Mówi się po polsku. Doskonała kuchnia polskorosyjska.

**OLD COASTGUARDS HOTEL**  
**MOUSEHOLE, PENZANCE**  
Czynny pomimo różnych utrudnień spowodowanych wojną. Na dłuższy pobyt ceny specjalne. Spokojne położenie, łagodny klimat. Dobre połączenia autobusowe. Cena od 3½ Gwinei. Prospekt na żądanie.  
Tel.: Mousehole 222. Adr. telegr.: Bryant Mousehole (R.A.C. & A.A.).

**WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.**  
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.  
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.  
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.  
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.